

Bp Zbigniew Kiernikowski***Ewangelia - Dobrą Nowiną o zwycięstwie nad śmiercią***

Katecheza liturgiczna wygłoszona 5 grudnia w kościele pw. św. Jadwigi Śląskiej w Mokobodach

W liturgii słowa Ewangelia zajmuje poczesne miejsce. Jest tu w sposób szczególny obwieszczana jako Dobra Nowina. Jej proklamowaniu towarzyszą specjalne znaki: kreślenie krzyża na czołach, ustach i piersiach, postawa stojąca, niekiedy okadzenie Ewangeliarza.

Odczytanie Ewangelii to moment, kiedy zgromadzeniu, przygotowanemu przez poprzednie czytania, obwieszczane jest słowo samego Jezusa Chrystusa – a więc to, co stanowi istotę Jego objawienia się człowiekowi. Istotą zaś Ewangelii jest śmierć i zmartwychwstanie Syna Bożego. To jest najważniejszy moment Dobrej Nowiny. By jak najpełniej go wyrazić, prawda o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa ukazana została w szerokim kontekście Jego życia i działalności, Jego słów i czynów.

Należy też podkreślić, że Ewangelia jest tym, co wyróżnia chrześcijaństwo od innych wyznań, wierzeń, religii. Znajomość Jezusa Chrystusa, który objawia się w Ewangelii, odróżnia nas – wierzących chrześcijan, zarówno od religii pogańskich jak i starotestamentalnych. Stary Testament bowiem był czasem oczekiwania, stanowił przygotowanie do momentu przyjścia Jezusa Chrystusa i spełnienia się Ewangelii.

Ewangelia – pomyślną wiadomością dla człowieka

Przypatrzymy się bliżej temu, jak należy rozumieć Ewangelię jako Dobrą Nowinę, czyli pomyślną wiadomość. Posłużmy się przykładami z naszego codziennego doświadczenia.

Żyjemy w świecie, w którym panuje wręcz natłok informacji: wiadomości płyną do nas z radia, telewizji, czytamy je w gazetach. Wiele z nich wpływa na nasze życie: kształtuje poglądy, opinie, powoduje określone reakcje, decyzje. Kiedy coś zostało zapowiedziane, odpowiednio reaguję, przygotowuję się do tego. Dotyczy to chociażby informacji o pogodzie: ubieram się, planuję wyjazdy, prace na roli itd. odpowiednio do tego, co usłyszałem.

Dobra wiadomość zaś to taka, która wychodzi naprzeciw naszym aktualnym potrzebom, brakom. Ktoś porównał dobrą nowinę do wiadomości, która pojawia się np. w takiej sytuacji, gdy jeden biedak powie innemu biednemu, głodnemu człowiekowi, gdzie można dostać za darmo jedzenie. Dobrą wiadomość stanowi także wskazanie drogi człowiekowi zagubionemu w lesie czy w nieznanym mu mieście. Albo zakomunikowanie choremu na nieuleczalną chorobę, że właśnie znaleziono lek na jego schorzenie. Taka wiadomość od razu poprawi samopoczucie choremu, bo jak długo o tym nie wiedział, był jakby skazany na śmierć. Gdy człowiek dowie się, że jest dla niego ratunek, uzyskuje nadzieję, która zmienia spojrzenie na jego sytuację, na bolesny problem, choćby droga do zdobycia lekarstwa czy wyjścia z zagubienia była długa, uciążliwa i kosztowna.

Dobra wiadomość zawarta w Ewangelii pokazuje człowiekowi rozwiązanie jego trudnej sytuacji życiowej – wskazuje drogę, daje nadzieję, ratunek w najbardziej trudnej dla człowieka dziedzinie. Jest to skierowana do nas wiadomość o Jezusie Chrystusie, który był człowiekiem na nasze podobieństwo, który przeszedł przez życie czyniąc dobrze (zob. Dz 10,38), a został źle potraktowany: skazany na śmierć krzyżową, ukrzyżowany, zabity, złożony do grobu. Trzeciego dnia powstał jednak z martwych i żyje po to, by obwieszczać, że śmierć nie ma ostatecznej władzy nad człowiekiem - że istnieje zmartwychwstanie. Co więcej, że tym, którzy zawinili, można przebaczyć. Jest to prawdziwa Dobra Nowina dla wierzących, dla grzeszników, że istnieje przebaczenie, gdyż zmartwychwstały Jezus przebacza tym, którzy Go ukrzyżowali. To jest centrum, serce Dobrej Nowiny. Tym, którzy pobłądzili w swojej niewłaściwej postawie wobec Jezusa Chrystusa, którzy nie przyjęli Go, co więcej – potraktowali jak złoczyńcę i ukrzyżowali – Ukrzyżowany i Zmartwychwstały Jezus obwieszcza przebaczenie grzechów, aby mogli się nawrócić i żyć.

To właśnie ogłasza św. Piotr, kiedy po raz pierwszy w dniu Zesłania Ducha Świętego mówi do Izraelitów: *Jezusa Nazarejczyka (...) przybiliście rękami bezbożnych do krzyża i zabiliście. Lecz Bóg wskrzesił Go, zerwawszy więzy śmierci, gdyż niemożliwe było, aby ona panowała nad Nim. Na ich pytanie wobec tej wiadomości: Cóż mamy czynić, bracia? odpowiedział: Nawróćcie się i niech każdy z was ochrzci się w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych* (zob. cały tekst: Dz 2, 22-38).

Dobra Nowina o zwycięstwie nad śmiercią

Tym, co kształtuje życie chrześcijanina, jest Ewangelia – Dobra Nowina, że Ktoś, kto umarł, żyje. Żyjąc w odniesieniu do Niego, w zjednoczeniu z Nim, mamy udział w tym samym życiu, w Jego śmierci i zmartwychwstaniu. Jezus bowiem przeżył to dla nas. On nie potrzebował tego dla siebie. Przeżył to, by stać się dla nas drogą, światłem – i zostawił to Kościołowi w sakramentach: chrztu, bierzmowania, Eucharystii, pokuty i pojednania, małżeństwa, kapłaństwa, namaszczenia chorych. W nich właśnie dokonuje się włączenie nas, ludzi śmiertelnych i chorych na lęk przed umieraniem, w tajemnicę śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Włączanie nas w Jego moc umierania, byśmy żyli już nie jako ci, którzy boją się śmierci, ale jako ci, którzy wiedzą, że śmierć istnieje, ale jest tylko przejściem do życia w jedności z Jezusem Chrystusem Zmartwychwstałym.

Jeśli to dobrze rozumiemy, to już tu żyjemy – jak mówi św. Paweł – jakbyśmy zmartwychwstali. Dzieje się to dzięki wierze w Ewangelię (zob. Rz 6,4-5; Kol 2,12). Bo jeśli mam świadomość, czym jest Dobra Nowina, i że Ewangelia o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa jest prawdziwa, będę też inaczej postępował. W moich relacjach do drugiego człowieka będę potrafił tracić, rezygnować, umierać, przebaczać - nawet jeśli to oznacza pewną stratę dla mnie - dlatego że wiem, iż to moje umieranie mocą Jezusa Chrystusa przemienia się w zmartwychwstanie, w komunię z drugim człowiekiem. Chrześcijaństwo bowiem jest właśnie takim sposobem bycia i życia, zbudowanym na tajemnicy Ewangelii (czyli na poznaniu śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa). Przeżywanie tej tajemnicy wprowadza nas w relacje jedności, przebaczenia, komunii, wspólnoty. Tworzy jedno ciało, Ciało Chrystusa.

Jedność owocem Ewangelii

Ciałem Chrystusa zmartwychwstałego jest nie tylko to Jego ciało, w którym Zmartwychwstały pokazał się uczniom i wstąpił do nieba. Ciałem Jezusa zmartwychwstałego jesteśmy także my, na tyle, na ile zjednoczeni z Nim w Jego umieraniu i zmartwychwstaniu żyjemy w jedności. I to nie tylko dlatego, że się jakoś dogadamy nawzajem, choć to także musimy czynić, ale dlatego, że potrafimy przyjmować ze strony drugiego człowieka rany, niesprawiedliwości, uderzenia, upokorzenia, krzywdy – i potrafimy przebaczać, ponieważ dzięki Ewangelii wiemy, że istnieje śmierć i zmartwychwstanie. Jeśli w taki sposób żyjemy lub choć trochę takiego ducha jest wśród nas, to między nami, wierzącymi tworzy się wspólnota. Ta wspólnota jest Ciałem Jezusa Chrystusa. I ona jest owocem Ewangelii – Dobrej Nowiny.

Wiem, że na tym polu – relacji z drugim człowiekiem – mamy dużo do zrobienia. Istnieje bowiem sporo niejasności w nas samych. Bardzo często w swej religijności wolimy raczej poprzestawać – jak myślimy – na osobistej relacji z Jezusem czy Matką Bożą, a nie zawsze, czy rzadziej, uwzględniamy nasz stosunek do drugiego człowieka, szczególnie gdy ten drugi człowiek jest dla nas niewygodny, robi nam przykrości itd. Doświadczamy, jak trudno jest wtedy być z tym człowiekiem w jedności. I właśnie tutaj wkracza moc Ewangelii. Jeśli wierzymy Ewangelii, jeśli wierzymy w śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa i uznajemy to za podstawę naszego życia, to wtedy też potrafimy przebaczać, nieść krzywdy, odpłacić dobrem za zło, być w komunii i stanowić Ciało Chrystusa Zmartwychwstałego.

Ewangelia w starożytności

Samo słowo *ewangelia* pochodzi z greckiego *euangelion*. Przedrostek *eu-* oznacza *dobry* (analogicznie jak w słowach *eucharystia*, *eufemizm*, *eugenika*, *eutanazja*). Druga część tego słowa – *angelion* pochodzi od czasownika *angelo* – *obwieszczać, zwiastować*, stąd *anioł, ten, który zwiastuje*. *Euangelion* więc to *dobra wiadomość*.

To słowo było używane w starożytnej kulturze pogańskiej i oznaczało, oprócz samej wiadomości, m.in. napiwek - nagrodę dla tego, kto przyniósł dobrą, pomyślną wiadomość, podobnie jak dziś niekiedy wręcza się listonoszowi drobną kwotę, gdy przynosi emeryturę czy rentę. Tym terminem określano także ofiary składane pogańskim bogom jako dziękczynienie za wiadomości o pomyślnych wydarzeniach, w podzięce za radosną, dobrą nowinę. Ale najbardziej znamienne znaczenie uzyskało to słowo – używane w liczbie mnogiej – jako obwieszczenie narodzin męskiego potomka króla czy cesarza będącego następcą tronu.

W religii Starego Testamentu - w okresie przygotowania na przyjście Mesjasza – pojęcie *euangelion* było też używane w różnych znaczeniach. Jednak stopniowo zyskało wydźwięk religijny o sensie podobnym do tego, jaki dziś mamy – jako obwieszczenie wielkich dzieł Pana Boga. I tak w Psalmie 96 powiedziane jest:

„*Śpiewajcie Panu, błogostawcie Jego imię,
Z dnia na dzień głoście Jego zbawienie!
Rozgłaszajcie Jego chwałę wśród narodów,
Jego cuda – wśród wszystkich ludów*” (Ps 96,2-3)

W oryginalnej formie w zwrotach: *głoscie zbawienie, rozgłaszajcie Jego chwałę*, w Biblii greckiej występuje słowo, które odpowiada naszemu: *głosić ewangelię, dobra nowinę*, że Bóg jest obecny ze swą chwałą w życiu człowieka.

Rozumienie pojęcia *ewangelia* i jego pochodnych w znaczeniu: *obwieszczenie wielkich dzieł Pana Boga*, jest szczególnie widoczne, gdy lud Izraela przeżywa upokorzenie na wygnaniu w niewoli babilońskiej w VIII-VI w. przed Chr. Było to wielkie, bolesne doświadczenie dla narodu izraelskiego. Ci, którzy wcześniej weszli do Ziemi Obiecanej, wybudowali świątynię, stali się pewni siebie, myśleli, że będą tam żyli dostatnio i, jak się to często dzieje, doszło do nadużyć: kultu obcych bogów, niesprawiedliwości społecznej. Izraelici żyli, jakby zapomnieli o Jedynym Bogu. Sami tworzyli sobie bożków. Gdy przestali się liczyć z Bogiem, dopuścili się niesprawiedliwości społecznej: królowie i inni władcy gnębili swoich poddanych, bogaci wykorzystywali ubogich. Dlatego Pan Bóg, dla ratowania tego narodu przed zadufaniem w sobie, zesłał nań klęski: najazdy Asyrii, Babilonii, więzienie oraz deportacje Izraelitów i Judejczyków do Babilonu.

W okresie niewoli babilońskiej powstają prorocy, którzy obwieszczają, że upokorzenia się skończą i przyjdzie czas zbawienia. Właśnie prorok Izajasz przedstawia wizję powrotu z wygnania. I mówi przy tym, że następuje czas przyjścia kogoś, kto ogłasza pokój, obwieszcza szczęście, zbawienie; który mówi do Syjonu: „Jeszcze jesteś w niewoli, ale twój Bóg zaczyna królować” (por. Iz 52,7). To jest właśnie obwieszczenie Dobrej Nowiny.

Jezus Ewangelią głoszoną całemu światu

W Nowym Testamencie Dobra Nowina - jak powiedziałem wcześniej - dotyczy wyzwolenia człowieka z lęku przed śmiercią przez to, że Jezus Chrystus doświadczył śmierci i wyszedł z niej zwycięsko.

Ale zanim to się stało, Jezus sam też głosił Dobrą Nowinę. Na początku trzech Ewangelii (Mateusza, Marka, Łukasza) jest powiedziane, że Jezus po chrzcie, który przyjął w Jordanie, przeżył kuszenie na pustyni, gdzie musiał zmagać się ze złym duchem. Nie uległ jednak pokusom szatana, lecz przeżywszy doświadczenie głodu i upokorzenia, wyszedł zwycięski z tej konfrontacji, nie ulegając sugestiom szatana przedstawiającego Mu możliwość zabezpieczenia życia i łatwy sukces. Po tym doświadczeniu Jezus zaczął publiczne głoszenie Ewangelii. Przechodził przez miasta i wioski i mówił: „Królestwo Boże jest bliskie, nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię” (zob. Mk 1,14n). Wówczas wszedł także do Nazaretu i w tamtejszej synagodze odczytał fragment księgi proroka Izajasza:

*Duch Pański spoczywa na Mnie,
ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie,
abym ubogim niósł dobrą nowinę* (Łk 4, 18; por. Iz 61).

Pan Jezus odniósł te słowa do siebie. Po ich odczytaniu powiedział: *Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli* (Łk 4, 21). Jezus jest tym, który głosi Ewangelię. On wręcz utożsamiał się z Ewangelią, pojmował siebie na podobieństwo Ewangelii. Mówi o tym tak, jakby On i ewangelia stanowili jedno, jedną wartość. Świadczą o tym choćby takie słowa: *kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z powodu Mnie i Ewangelii, zachowa je* (Mk 8,35), czy: *Zaprawdę, powiadam*

wam: Nikt nie opuszcza domu, braci, sióstr, matki, ojca, dzieci i pól z powodu Mnie i z powodu Ewangelii, żeby nie otrzymał stokroć więcej teraz, w tym czasie, domów, braci, sióstr, matek, dzieci i pól, wśród prześladowań, a życia wiecznego w czasie przyszłym (Mk 10,29-30). Widać więc, jak Jezus niejako utożsamia się z Ewangelią: On i Jego Ewangelia. Jezus Chrystus sam jest Ewangelią.

Dobra Nowina to także to orędzie, które jest głoszone po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Apostołowie głoszą Ewangelię od dnia Zesłania Ducha Świętego, gdy powstał Kościół. Czynią to ich następcy po dzień dzisiejszy.

Chcemy w czasie liturgii zwrócić uwagę na to, że obwieszczenie Ewangelii jest w niej ważnym momentem. Podkreślamy to postawą stojącą. Podczas niektórych celebracji Ewangeliarz jest uroczyście wnoszony, okadzany. Jako znak naszego przyłączenia do prawdy Ewangelii czynimy znak krzyża na czole, ustach i na sercu, bo jej przyjęcie łączy się zawsze z krzyżem. Dobra Nowina może do nas przyjść tylko przez krzyż, gdyż jej treścią jest tajemnica krzyża – śmierć Jezusa Chrystusa i jej zwyciężenie w zmartwychwstaniu. Czyniąc na sobie znak krzyża wyznajemy i przyznajemy się do tej prawdy, a jednocześnie poddajemy jej swe życie.

Ewangelia objawieniem sensu krzyża

Katecheza liturgiczna wygłoszona 12 grudnia w kościele pw. Wniebowzięcia NMP w Niwiskach

Treścią Ewangelii jest Dobra Nowina, którą głosił Jezus Chrystus. Ale również On tak dalece utożsamiał się z prawdą, którą głosił, że można powiedzieć, iż On sam był tą Dobrą Nowiną. Mówiliśmy już o tym w poprzedniej katechezie. Wreszcie Apostołowie i Kościół po dzień dzisiejszy głosi Ewangelię o Jezusie Chrystusie. Słusznie więc dziś mówimy, że głosi się Ewangelię o Jezusie Chrystusie, Ewangelię Jezusa Chrystusa czy Ewangelię, którą jest Jezus Chrystus – Ten, który przyszedł na świat, doświadczył ludzkiego losu, ale swoje życie przeżył w sposób inny, niż my.

Dobra Nowina nie po myśli człowieka

Jezus był podobny do nas we wszystkim: stał się człowiekiem, urodził się i wychowywał w rodzinie, pracował. Potem zaczął nauczać, a moc Boża pozwalała mu na czynienie cudów. Taki Jezus był akceptowany – szły za Nim tłumy. W drugiej części swego publicznego życia Pan Jezus zaczął podejmować problemy, co ludziom nie odpowiadało. Mówił o konieczności swej męki i śmierci. Zanim to nastąpiło, zanim Jezus przeszedł przez śmierć do zmartwychwstania, nie rozumiał tego nawet sam Piotr.

Przypomnijmy, że to jest ten sam Piotr, którego wcześniej Jezus pochwalił i którego ogłosił Skałą, na której zostanie wzniesiony Kościół. Scena ta rozegrała się pod Cezareą Filipową. Na pytanie Jezusa: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?”, padła odpowiedź: „Jedni za Jana Chrzyciela, inni za Eliasza, jeszcze inni za Jeremiasza albo za jednego z proroków”. Wtedy Jezus ponownie zapytał: „A wy za kogo Mnie uważacie?” Wówczas św. Piotr wyznał: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga

żywego”, za co Pan Jezus pochwalił go: „Błogosławiony jesteś, Symonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie” – to znaczy nie wiesz tego od siebie, ale zostało ci to objawione przez mojego Ojca. W tym momencie Jezus powiedział: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała] i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. Tobie dam klucze królestwa niebieskiego” (por. Mt 16,13-19). Wszystko zapowiadało się bardzo pięknie – po myśli Piotra i innych apostołów. Według dzisiejszych pojęć można by powiedzieć – to tak, jak gdyby Pan Jezus zorganizował partię, której szefem uczynił Piotra. Partia zaś jest po to, by pretendować do przejęcia władzy, do zorganizowania społeczeństwa według swojej koncepcji. To nie było jednak zamiarem Jezusa. Co się więc potem stało?

Wkrótce po tym wydarzeniu, kiedy Pan Jezus powiedział, że „musi iść do Jerozolimy i wiele cierpieć od starszych i arcykapłanów, i uczonych w Piśmie; że będzie zabity i trzeciego dnia zmartwychwstać”, Piotr wziął Pana Jezusa na bok i powiedział do Niego: „Niech Cię Bóg od tego uchowa. Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie”. Możemy tak sparafrazować słowa Piotra: Tak się dobrze zapowiada, a Ty mówisz o wydaniu, ukrzyżowaniu! To niemożliwe! Popsułyby się przez to wszystkie nasze plany, interesy. Wtedy Jezus powiedział do niego mocne słowa: „Zejdź mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki” (por. Mt 16,21-23). Trzeba zauważyć, że Piotr wyznał wiarę w Jezusa Chrystusa jako Mesjasza. Przyjął uroczyste oświadczenie Jezusa o jego specjalnym zadaniu. Nie przyjął jednak całej prawdy o Jezusie. W szczególności nie przyjął tego, co stanowiło wiadomość – Ewangelię.

Nam, ludziom, nie odpowiada prawda o tym, że człowiek musi umrzeć, by móc inaczej żyć. W przypadku Pana Jezusa ma to jeszcze bardziej ostry, wręcz drastyczny wydźwięk, bo On był sprawiedliwy, dobry, nie popełnił grzechu. Jego okrutna śmierć na krzyżu miała się okazać niesprawiedliwa. Co więcej: On mógł tej śmierci uniknąć, bo miał wszelką moc potrzebną do tego. Nawet wtedy, gdy stojący pod krzyżem szycerco wołali do Niego: „Jeśli jesteś Synem Bożym, zejść z krzyża (...), niechże teraz zejdziesz z krzyża, a uwierzemy w Niego” (zob. Mt 27,40.42). Dobrą Nowiną nie jest to jakoby Jezus miał (mógł czy chciał) zejść z krzyża, lecz to, że pozostał na krzyżu aż do skonania i złożenia do grobu, że zmartwychwstał i żyje, by dawać Ducha Świętego na przebaczenie grzechów.

Grzeszymy, bo chcemy żyć według swojej woli

Człowiek potrzebuje takiej Dobrej Nowiny, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Nawet broni się przez taką Dobrą Nowiną, bowiem ona przeprowadza go przez doświadczenie krzyża. My chętnie wierzylibyśmy w takiego Boga, który wybawiałby nas od trudności, od krzyża; w takiego Boga, który spełniałby naszą wolę; za takim Bogiem chętnie byśmy poszli. Pan Jezus wielokrotnie wychodził naprzeciw potrzebom ludzi: dokonywał rozmnożenia chleba, uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, głosił Ewangelię. Ale wiedział, że to nie wystarczy, że ludzie potrzebują czegoś innego.

Czego naprawdę i przede wszystkim potrzeba człowiekowi? Co jest tym zasadniczym problemem, potrzebą czy chorobą człowieka. Zastanówmy się najpierw dlaczego nie żyjemy w zgodzie, dlaczego czasem jesteśmy nieuczciwi, dlaczego kradniemy,

kłamiemy? Dlaczego nastajemy na drugiego człowieka, nienawidzimy go? Jednym słowem: dlaczego grzeszymy? – a grzeszy każdy z nas. Grzeszymy, ponieważ boimy się o siebie. Boimy się, że możemy żyć gorzej, że ktoś nas może skrzywdzić, wykorystać, że jeśli nie postawimy na siebie, nie przeprowadzimy swojej woli, to inni zrobią z nami, co zechcą. Ostatecznie boimy się umierania, śmierci. Owszem, niekiedy zdarzają się osoby, które zmęczone życiem mówią: Chciałbym już umrzeć. Całe nasze życie poddane jest presji lęku przed śmiercią i umieraniem. Także przed tym wszystkim, co jest znakiem umierania – przed sytuacjami, w których nam coś zabiorą, kiedy stracimy twarz, dowiemy się niewygodnej dla nas prawdy. To są przejawy naszego umierania. Boimy się tego, bo wszyscy, jak tu jesteśmy, chcemy żyć, i to tak, jak sami chcemy.

Kiedy nieraz wprost zadaję komuś pytanie dlaczego grzeszy, słyszę różne odpowiedzi: ze słabości, z powodu pokus, różnych okoliczności, przez szatana. To wszystko prawda, ale ostatecznie za każdym moim grzechem stoi moje przekonanie i wola: chcę żyć na swój sposób, bo ja najlepiej wiem, co dla mnie jest dobre, a co złe. Czuję się panem swojego życia, sam decyduję, jak myśleć, oceniać innych, jak postępować. Grzeszymy właśnie dlatego, że każdy z nas chce żyć tak, jak sam chce.

Umieranie dla siebie drogą do jedności

Kiedy Jezus zapowiada swą mękę, śmierć i zmartwychwstanie, Piotr protestuje, chce temu zapobiec, stara się przekonać Jezusa do swoich racji. Jednak Pan Jezus przyszedł właśnie po to, żeby umrzeć (i to w sposób niesprawiedliwy) i trzeciego dnia zmartwychwstać, a tym samym otworzyć nowy sposób życia (zob. Rz 6,4). Dobra Nowina to jest właśnie ta wiadomość: Ten, który został ukrzyżowany, który umarł – żyje, co więcej: żyje nowym życiem!

Jeśli jestem przekonany, że śmierć została pokonana, jeśli to stanowi dla mnie pewnik, fundament mego życia, to znaczy że wierzę, iż można umrzeć i żyć. Wówczas zaczynam inaczej odnosić się do osób, sytuacji, w których doświadczam codziennego umierania – w których jestem krzywdzony, gorzej traktowany. Gdy mowa o umieraniu, nie chodzi tylko o tę ostateczną, fizyczną śmierć, ale też o wszystko, co nam o niej przypomina, co nas do niej codziennie zbliża, co jest pewnym zabieraniem nam naszego życia. Dobra Nowina, która stała się w Jezusie Chrystusie, którą Jezus Chrystus głosi, którą sam się stał, którą następnie głosili Apostołowie, nie tylko opowiadaniem, ale także przekazywaniem tej samej mocy, aż do oddania własnego życia – ta Dobra Nowina mówi mi dzisiaj i w każdej sytuacji: Ty możesz umrzeć i żyć.

Zatem kimkolwiek jesteś: żoną, mężem, pracownikiem, pracodawcą - jeśli uwierzysz, że możesz umierać dla siebie i żyć mocą Jezusa Chrystusa w inny sposób, to przestanieś się bać i będziesz wolnym. Oczywiście, trochę ludzkiego lęku nam zostanie. Jezus też przeżywał lęk przed umieraniem. Większe jest jednak zaufanie Bogu. Jeśli więc uwierzysz, że dzięki Dobrej Nowinie – dzięki śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa – śmierć została zwyciężona przez zmartwychwstanie, to ten lęk przed traceniem i przed umieraniem pokaże się w innym świetle. Poznasz moc umierania i zaczniesz inaczej odnosić się do drugiego człowieka, nawet do tego, który jest powodem twojego umierania. Gdy będziesz wiedział, że umieranie jest tobie

potrzebne, wręcz konieczne, by mógł zaistnieć w tobie nowy człowiek, to nawet nie zauważysz, że wejdiesz z tą drugą osobą w relację przebaczenia, jedności, pokoju.

Tym, co niszczy nasze życie i nie pozwala nam żyć w pokoju, prawdzie, jedności, jest lęk o nas samych, o siebie, jest to, że nie chcę przyjąć prawdy, że jestem człowiekiem śmiertelnym. Natomiast Ewangelia – Dobra Nowina, która mówi, że w Jezusie Chrystusie śmierć została pokonana, więc można umrzeć i żyć, czyni mnie człowiekiem wolnym. Właśnie to jest podstawową wiadomością, która sprowadza nas do świątyni – do miejsca, gdzie się uczymy poznawać Ewangelię. Bo kiedy jesteśmy rozproszeni, to każdy myśli o sobie i chce siebie samego potwierdzić, a odrzuca wszystko, co jest przeciw niemu, co mówi o śmierci, umieraniu. Dlatego tak często nie ma między nami prawdziwej komunii i jedności.

Ewangelia źródłem mocy do umierania

Jesteśmy przyzwyczajeni, że mamy przyjść do kościoła, spełnić obowiązek uczestniczenia we mszy świętej, odprawić nabożeństwo. Nie zawsze natomiast przy tym rozumiemy, że przychodzimy tu przede wszystkim po to, by poznać Dobrą Nowinę i odnieść ją do siebie, by dzięki Ewangelii i sakramentom wychodzić stąd jako ludzie mający moc umierania i życia. Nie jest właściwe, gdy przychodzimy tu, by zaczerpnąć mocy do życia bardziej dla siebie, czyli do życia egoistycznego, by ono było bardziej po naszej myśli, żeby się okazało, że jestem lepszy od drugiego, że ja mam rację. Oczywiście coś z tego zawsze będzie. Nie jest jednak dobrze, gdy to jest głównym motywem i racją. Bo jak się będę utwierdzał, że ja mam rację, że ja jestem najważniejszy, to drugiemu będę wypominał, że on jest w błędzie, że on i jego życie są mniej ważne.

Tym, którzy byli pewni siebie, uważali, że są sprawiedliwi i gardzili drugimi, Pan Jezus opowiedział przypowieść o faryzeuszu i celniku, czy o marnotrawnym synu. W ten sposób obwieszczał Ewangelię o przebaczeniu. Pan Jezus mógł ją głosić, bo za tę prawdę zapłacił swoim życiem. Głoszenie Ewangelii jest związane z krzyżem. Zarówno u tego, kto ją głosi, jak i u tego, kto ją przyjmuje.

Rozpoczynając proklamację Ewangelii, diakon lub kapłan mówi: „Pan z wami”. Jest to wezwanie, które zawsze rozpoczyna każdy ważny moment w liturgii. Oznacza ono, że Bóg ze swą mocą jest wśród zgromadzonych. Potem słyszymy tytuł, zapowiedź: „Słowa Ewangelii według św. Mateusza” (lub Marka, Łukasza czy Jana). W tym czasie proklamujący Ewangelię wykonuje znak krzyża na księdze, a następnie na czole, ustach i piersi – co również czynią wszyscy uczestnicy liturgii. Znak ten oznacza, że Ewangelię możemy przyjąć tylko wtedy, gdy przyjmujemy krzyż. Wszyscy w swym życiu dźwigamy krzyże. Każdy z nas - młody, stary, bogaty, biedny, pobożny i taki, który chodzi własnymi drogami - ma swój krzyż. Biskup też. Dlatego nosi krzyż na piersi, żeby sam wiedział i żeby inni wiedzieli, o co chodzi w jego życiu. Jednak często, choć wieszamy znak krzyża na ścianie czy nosimy go na piersi, lub nim się żegnamy, to jednak gdy dostrzeżemy, że zbliża się do nas jako krzyż cierpienia, trudnego doświadczenia, upokorzenia (czyli z tym, co oznacza), najchętniej byśmy pociękali. Tak zrobili apostołowie wobec Męki Jezusa. Albo jak Piotr naciskamy na Pana Boga: „Zrób tak, Panie Boże, żeby mnie ten krzyż ominął”.

Nie mówię tego, by kogoś oskarżać czy potępiać. Taki jest człowiek: wobec krzyża przeżywamy lęk, trwogę – i uciekamy. Kto natomiast spotkał Jezusa i poznał jego Ewangelię, czyli żyje jako chrześcijanin, nie będzie się modlił przede wszystkim: „Panie Boże, zabierz mi ten krzyż”, lecz: „Panie, daj mi wiarę i siłę, bym razem z Tobą podejmował mój krzyż”. To możemy czynić tylko w świetle Ewangelii. Choć prośba o to, aby Pan Bóg zabrał krzyż, który odczuwamy jako zbyt wielki, może też być usprawiedliwiona. Możesz tak prosić Pana Boga, jak Jezus o to prosił: „Ojczy, oddal ode mnie ten kielich”. Ale, jak pamiętamy, zaraz potem dodał: „Nie moja, ale Twoja wola niech się stanie” (por. Mt 26,39), bo wiedział, że przyszedł właśnie po to, żeby spotkać się z tym krzyżem.

Nie przyjmujemy krzyża bez światła Ewangelii, bo bez Dobrej Nowiny krzyż jest czymś złym, czymś, co niszczy człowieka. Ale też Ewangelia nie spełni się w nas, jeśli nie zgodzimy się na przyjęcie krzyża. Nie ma bowiem blasku zmartwychwstania, czyli nowego życia bez doświadczenia męki, krzyża i umierania w nas starego człowieka.

Trzeba przy tym pamiętać, że gdy komuś uda się uciec od swego krzyża, zwłaszcza w dziedzinie relacji międzyludzkich, to bardzo często spadnie on w jakiejś formie na kogoś innego. Chrześcijanin, który poznał Ewangelię, widzi, że Jezus Chrystus jest na krzyżu i że z krzyża obwieszcza Dobrą Nowinę. Głosi ją po to, byś również ty przeżył swoje umieranie i zmartwychwstanie. Nie tylko na końcu czasów, ale już w tym życiu. Głosi ją po to, żebyś umiał stanąć przed krzyżem, przyjmując go, choć będzie cię to wiele kosztowało. Zostaniesz skrzywdzony, będziesz cierpiał, poniesiesz stratę materialną czy jakąś inną. Ale Jezus Chrystus mówi: W tym krzyżu jest twoje zbawienie. Przez ten krzyż wejdiesz w poznanie mocy Boga, w jedność z drugim człowiekiem, przebaczysz, nie będziesz chodził w nienawiści i gniewie. Wejdiesz w jedność i pokój.

Ewangelia sprawdzi się, wypełni wyłącznie wtedy, kiedy będę gotów przyjmując krzyż. I po to ona przychodzi. Na początku obwieszczenia i słuchania Ewangelii, czynię znak krzyża na czole, ustach, piersi – na tym wszystkim, co myślę, mówię, gdzie wszystko odczuwam, gdzie kształtują się moje relacje do drugiego i gdzie się dokonuje całe moje życie. Kreślenie na sobie krzyża oznacza, że chcę przyjmując krzyż, chcę, by w moim życiu była Ewangelia, która oświeca mój krzyż.

Jeśli mamy tę postawę, tę gotowość, wtedy dopiero mamy szansę właściwie uczestniczyć w liturgii.

Ewangelia – słowo niweczące logikę grzechu

Katecheza liturgiczna wygłoszona 19 grudnia 2004 r. w katedrze siedleckiej

Ewangelia stanowi źródło i ośrodek życia chrześcijańskiego, jest też wyróżnikiem chrześcijaństwa w odniesieniu do innych religii. W nich bowiem człowiek odnosi się do Boga czy bóstwa przez wyrażanie swych potrzeb oraz formułowanie i realizowanie swych obowiązków, które mają być środkiem do zdobycia przychylności Boga czy bóstwa.

Chrześcijaństwo zaś to życie płynące z prawdy, że Bóg upodobał sobie w człowieku i że przyszedł do niego w swojej przychylności i łaskawości. To właśnie Bóg objawił w Ewangelii, z którą niejako utożsamił się Jezus Chrystus.

Przyjęcie tej prawdy najpełniej dokonało się w Maryi. Ona niczego sama z siebie nie wykonała, tylko przyjęła Dobrą Nowinę, na którą odpowiedziała: „Niech mi się stanie”. Uwierzyła Bogu i przez to zrealizowała się w Niej zapowiedź Boga: stała się Matką rodzącą to, co Boże, dlatego że uwierzyła Nowinie. „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana” – powie do Niej św. Elżbieta (zob. Łk 1,30-45).

Przyjąć Ewangelię to poddać jej swoje życie

Dobra Nowina nie jest łatwa ani prosta do przyjęcia. Kiedy bowiem człowiek uwierzy, że pochodzi ona od Boga, który jest absolutnym Panem, to zrozumie, że musi jej poddać całe swoje życie. Dlatego nieradko broni się przed Ewangelią. Woli wypełniać jakieś obowiązki wobec Pana Boga i żywić przekonanie, że należy mu się nagroda, gdy dobrze żyje, a gdy postąpi źle – zasługuje na karę. W tak ukształtowanej relacji do Boga to człowiek pozostaje główną osobą działającą, trzymającą w rękach ster swego życia. O wiele trudniej jest przyjąć Dobrą Nowinę i uznać kogoś innego za Pana swego życia. Tylko Maryja, która była Niepokalana, potrafiła to uczynić w sposób doskonały, całkowity, bezwarunkowy. My natomiast – z różnym skutkiem – uczymy się przyjmować taki sposób egzystencji.

Jezus zostawił Kościołowi Dobrą Nowinę. On ją najpierw sam głosił, On się nią stał przez swoją śmierć i zmartwychwstanie – tzn. Jego śmierć i zmartwychwstanie stanowią istotną treść Ewangelii – i w końcu polecił swoim uczniom, aby szli po krańce ziemi i przez wszystkie wieki ją obwieszczali.

Dobra Nowina zawsze była głoszona w Kościele, ale w ciągu wieków, w różnych epokach jego dziejów dokonało się wiele wydarzeń związanych z uwarunkowaniami politycznymi i społecznymi, kulturowymi itp., które czasem po części odciągały od Ewangelii aktualne przeżywanie wiary. Dobra Nowina została przyćmiona różnymi aspektami życia religijnego. Sobór Watykański II na nowo przypomniał centralną rolę Ewangelii w życiu Kościoła i poszczególnych chrześcijan. Dziś zatem Ewangelia musi jak Idołamacz przebijać się przez odporne lody naszych serc, zamkniętych na jej przyjęcie, czasem także wskutek naszego niewłaściwego rozumienia pobożności i religijności. Nieustannie jest więc aktualne polecenie Jezusa: „Idźcie i głoscie” – na zewnątrz, ale także wewnątrz Kościoła.

Wszechstronność, wszechobecność i uniwersalizm Ewangelii

Ewangelia Jezusa Chrystusa – Ewangelia, którą jest On sam, została zapisana w czterech wersjach. Kościół ustalając tzw. kanon Nowego Testamentu, określił, że tylko cztery Ewangelie – Mateusza, Marka, Łukasza i Jana – są wiarygodnymi świadkami tajemnicy Jezusa Chrystusa; w tych czterech Ewangeliach jest zawarte wszystko, co jest potrzebne, konieczne i wystarczające dla głoszenia prawdy Jezusa Chrystusa.

Ta liczba jest nieprzypadkowa. W starożytności liczba cztery oznaczała wszechstronność. Księga Ezechiela przedstawia przedziwną, trudną do wyobrażenia wizję rydwana Bożego – wozu ognistego, który porusza się w czterech kierunkach świata i

który zawsze pozostaje jednością. Pośrodku wozu znajdują się postaci czterech cherubinów – każdy o czterech skrzydłach i czterech twarzach: lwa, wołu, anioła i człowieka (zob. Ez 1,4-12; 10,6-22). Te oblicza zostały przypisane poszczególnym ewangelistom.

Wspomniana wizja ukazuje tajemnicę wszechobecności, uniwersalności Ewangelii w jej jedności, której spoiwem jest Jezus Chrystus – Jego śmierć i zmartwychwstanie.

Składanie ewangeliarza na ołtarzu

Ewangelia jest najcenniejszą księgą, jaką posiadamy; stanowi ośrodek, serce Pisma Świętego. W uroczystej liturgii używa się księgi zwanej ewangeliarzem, która zazwyczaj ma bogatą oprawę zewnętrzną, podkreślającą znaczenie Ewangelii. Na ogół na przedniej okładce ewangeliarza umieszczony jest krzyż albo ikona Chrystusa i symbole czterech ewangelistów. Znaki te podkreślają, że Ewangelia wypełniła się w krzyżu i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Cztery ewangeliści sformułowali ją jako cztery odrębne dzieła literackie, które wzajemnie się uzupełniają.

Kościół jest świadom, że ta księga jest znakiem obecności Jezusa; że jest Jego ikoną. Dlatego przy uroczystych celebracjach ewangeliarz jest procesjonalnie wnoszony przez diakona (lub ministranta) na znak, że księga ta, podobnie jak celebrans, reprezentuje Jezusa Chrystusa. Składa się ją na ołtarzu, aby podkreślić, że jej treść łączy się z ofiarą ołtarza. Ewangeliarz leży tam do czasu, kiedy diakon lub kapłan uroczysto przeniesie go na ambonę, skąd proklamuje się Ewangelię.

Złożenie ewangeliarza na ołtarzu wyraża prawdę, że liturgia słowa jest składaniem ofiary, podobnie jak następująca potem Ofiara Chleba i Wina. Podczas słuchania słowa Bożego, szczególnie Ewangelii, dokonuje się bowiem przemiana: człowiek, który sam z siebie chce prowadzić życie tak, by było ono dla niego korzystne, wygodne i szczęśliwe, według jego pomysłu i wyobrażenia, zaczyna rozumieć, że jest mu potrzebna przemiana – by zaczął żyć dla innych, by się wydawał w ręce innych.

Kiedy więc ta księga zostaje złożona na ołtarzu i kiedy świadomie uczestniczymy w liturgii, każdy z nas winien się zastanowić: „Czy chcę, aby rzeczywistość Ewangelii dotknęła mnie i czyniła z mego życia – z mego ciała, myślenia, relacji z drugim człowiekiem – ołtarz, na którym dokonuje się ofiara miła Bogu, czyli przemiana dokonująca się we mnie, a polegająca na ukrzyżowaniu starego człowieka, tzn. człowieka grzechu, by mógł we mnie żyć nowy człowiek – według zamysłu i woli Pana Boga?” Warto sobie to uświadomić, gdy księga Ewangelii uroczysto jest wnoszona i składana na ołtarzu. „Nie chciałeś ofiary krwawej ani obiaty, lecz otwarłeś mi uszy / utworzyłeś mi ciało; całopalenia i zertwy za grzech nie żądałeś. Wtedy powiedziałem: Oto przychodzę; w zwoju księgi o mnie napisano: Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę, a Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu” (Ps 40,7-9) – nie chciałeś czegoś, rzeczy, które bym składał na Twoją chwałę, ale pragniesz, by w moim ciele, w moim życiu spełniała się Twoja wola (por. Iz 50,5; Hbr 10,5-7).

Jeśli jesteś świadom tego, co się dzieje w momencie położenia Ewangelii na ołtarzu, możesz powiedzieć: „Panie Boże, chcę, by moje życie stało się ołtarzem, na którym jest złożona Ewangelia; ołtarzem, który przyjmuje w siebie jej treść”. W tym momencie może się dokonać w twoim sercu wielki cud.

Słowa Ewangelii w umyśle, na ustach i w sercu

W liturgii słowa moment obwieszczenia Ewangelii, który następuje po czytaniach ze Starego i Nowego Testamentu, jest bardzo uroczysty. Możemy mówić o pewnym rytmie jej czytania czy nawet śpiewania, bo Ewangelia powinna być nie tylko odczytywana, ale uroczyście proklamowana, czemu najlepiej odpowiada właśnie dobry śpiew.

Ryt proklamowania Ewangelii ma także szczególną oprawę zewnętrzną i obejmuje cały szereg elementów. Na jego rozpoczęcie wszyscy uczestnicy zgromadzenia wstają i uczestniczą w śpiewie aklamacji poprzedzającej czytanie Ewangelii.

W tym czasie, gdy głównym celebransem jest biskup, mający ją odczytać kapłan lub diakon przychodzi do biskupa i prosi o błogosławieństwo: „Pobłogosław mnie, Ojcze”, a biskup odpowiada: „Niech Pan będzie w sercu twoim i na twoich wargach, abys godnie [i kompetentnie] ogłosił Ewangelię” (*Dominus sit in corde tuo, et in labiis tuis: ut digne et competenter annunties Evangelium suum*). Podobnie jest, gdy kapłan celebrował liturgię, a diakon ma proklamować Ewangelię.

Jeśli ma to uczynić kapłan celebrujący liturgię, przed czytaniem Ewangelii odmawia modlitwę o oczyszczenie serca i warg: „Wszechmogący Boże, oczyść serce i usta moje, abym godnie głosił Twoją świętą Ewangelię”.

Dlaczego tak ważne są modlitwa i błogosławieństwo przed proklamowaniem Ewangelii? Ponieważ oprócz wypowiedzenia istotnej prawdy podkreślają one hierarchiczność Kościoła: Ewangelii nie można głosić na własną rękę – głosi się ją w posłuszeństwie Kościołowi.

Po tym ważnym momencie diakon (lub kapłan) przenosi ewangeliarz z ołtarza na ambonę lub – jeśli księga nie była wcześniej złożona na ołtarzu – podchodzi do ambony i po otwarciu księgi wypowiada słowa: „Pan z wami” – którymi się zaczyna każdy ważny moment w liturgii i które oznaczają, że Bóg ze swą mocą jest wśród zgromadzonych. Potem słyszymy: „Słowa Ewangelii według św. Mateusza” (lub Marka, Łukasza czy Jana), na które zgromadzenie odpowiada: „Chwała Tobie, Panie”. Jest to wyznanie, że to Pan obwieszcza swoją Nowinę i to objawia Jego chwałę wśród ludu. W tym czasie diakon (lub kapłan) czyni znak krzyża na księdze, a wierni czynią go na czole, ustach i sercu.

W poprzedniej katechezie podkreślaliśmy związek Ewangelii z krzyżem, bo Ewangelia to Dobra Nowina, która obwieszcza, że dzięki mocy Jezusa Zmartwychwstałego krzyż jest rzeczywistością zbawiającą. Naszym normalnym, ludzkim odruchem w obliczu jakichkolwiek trudności jest ucieczka, odwrócenie się od krzyża. Ewangelia natomiast zachęca nas i wzywa: „Podejmij ten krzyż, wejdź w tę trudną sytuację. Nie po to, byś cierpiał dla samego cierpienia, ale dlatego, że w krzyżu jest klucz do zrozumienia twego życia. Właśnie to ci obwieszcza Ewangelia – Dobra Nowina: w twoim krzyżu jest możliwość spotkania Boga dającego życie i zbawienie. Kiedy zaś uciekasz od krzyża, nie znajdziesz pełni życia ani jego sensu”.

Jeśli liturgia jest sprawowana uroczyście, następuje okadzenie jako znak oddania czci Ewangelii i ewangeliarzowi. Po czym proklamowana jest Ewangelia.

„Niech słowa Ewangelii zgładzą nasze grzechy”

Po proklamacji Ewangelii diakon (lub kapłan) mówi: „Oto słowo Pańskie”, a lud odpowiada: „Chwała Tobie, Chryste”. Następnie diakon (kapłan) mówi po cichu: „Niech słowa Ewangelii zgładzą nasze grzechy”.

W tym wezwaniu również jest zawarta wielka prawda: słuchanie Ewangelii ma moc gładzenia naszych grzechów. Nie chodzi tu oczywiście o sakramentalne ich odpuszczanie jak podczas spowiedzi. Chodzi natomiast o wielką prawdę, iż słuchanie i przyjmowanie Ewangelii powoduje, iż człowiek przestaje grzeszyć. To znaczy, że gładzenie w nas grzeszności, czy zarodka grzeszności, dokonuje się w nas przez słuchanie i przyjmowanie obwieszczanej w Ewangelii prawdy, że przez śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa dokonuje się wylanie Ducha Świętego oraz że w doświadczanej także przez nas rzeczywistości krzyża jest obecny Bóg. Przyjęcie ogłaszanej w Ewangelii logiki krzyża stanowi lekarstwo przeciwko logice grzeszenia. Grzeszymy bowiem, gdy chcemy spełniać swoją wolę; grzeszymy, bo chcemy żyć tak, jak chcemy, według własnych pomysłów. Grzeszymy nawet w swojej pobożności, gdy staramy się Pana Boga nagiąć do własnych koncepcji i przeprowadzić swoją wolę i przy tym prosimy o Jego błogosławieństwo. Nie raz już o tym mówiliśmy w naszych katechezach.

Ewangelia – Dobra Nowina zaś gładzi w nas logikę grzechu, bo mówi: „Nie uciekaj od krzyża, bo na nim jest zwycięski Chrystus. On jest z tobą przy twoim krzyżu. Nie uciekaj, nie szukaj siebie, nie staraj się zrealizować swoich racji przed drugim, żeby wyszło na twoje. Mocą Jezusa Chrystusa przyjmij tę prawdę, że można stracić, że stojący przed tobą krzyż – ból, upokorzenie, niesprawiedliwość – jest oświecony blaskiem zmartwychwstania obwieszczanego w Ewangelii. Wejdz w tę niesprawiedliwość, a wtedy nie zgrzeszysz”.

Przyjmowane przez nas słowa Ewangelii usuwają z naszego wnętrza logikę grzeszenia. Obyśmy mieli większą świadomość tego, że słuchanie Ewangelii z poddaniem się jej – to właśnie jest oczyszczanie naszego wnętrza!

Powtarzam: to nie jest takie samo, sakramentalne odpuszczanie grzechów jak podczas spowiedzi. Gdy jednak ograniczamy się do wyznania grzechów w konfesjonale, a nie przyjmujemy mocy Ewangelii, to okazuje się, że latami spowiadamy się z tych samych grzechów, przyjmujemy rozgrzeszenie i wracamy do swej codzienności – do tych samych grzechów.

Natomiast gdy naprawdę usłyszysz Ewangelię i zrozumiesz, że gdy to słowo i zawarta w nim tajemnica Jezusa Chrystusa zostanie przez ciebie przyjęta i zakorzeni się w tobie, nie będziesz szukał swego życia dla siebie, to przynajmniej po części przestaniesz grzeszyć. Słowa Ewangelii zgładzą w tobie logikę grzeszenia.

Potrzeba bezbronności wobec Ewangelii

W starych polskich tradycjach istniał zwyczaj, że obecni na liturgii rycerze czy żołnierze podczas czytania Ewangelii odkładali od siebie broń. Jest to bardzo wymowny gest, bo słów Ewangelii może słuchać jedynie człowiek, który jest bezbronny. Nie przyjmie jej nikt, kto staje w pozycji obronnej, kto ma jakąkolwiek broń – czy tę fizyczną, czy duchową, choćby w formie przekonania o własnej racji, dążenia za wszelką cenę do realizowania swojej woli. Ewangelia do nas nie dotrze, jeśli będzie-

my jej słuchać z takim nastawieniem: mam swoje racje i mam środki, by przeprowadzić moją wolę.

Zachęcam bardzo mocno: kiedy przygotowując się na słuchanie Ewangelii wstajemy i mówimy „Chwała Tobie, Panie”, dołożmy wysiłku, by wobec Dobrej Nowiny wyzbyć się swoich racji. Pozwól, by to słowo obmyło cię, splukało z ciebie twoje racje jak ulewny deszcz splukuje grube warstwy kurzu, brudu z drzew, dachów, ulic. Wtedy będzie owocne słuchanie Ewangelii.

Jak długo jesteś uzbrojony w siebie samego i sądzisz, że wiesz, jak powinienesz skonstruować swoje życie, jak inni powinni cię traktować itd., Ewangelia do ciebie nie dotrze. Nie potrafisz jej słuchać, bo ty – w twoim przekonaniu – już wszystko wiesz, nie potrzebujesz i nie oczekujesz Dobrej Nowiny.

Ewangelii można słuchać tylko z pozycji biednego. Przypomnijmy sobie rozmowę Jezusa z uczniami Jana Chrzciciela. Na ich pytanie: „Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego mamy oczekiwać?”, Jezus odpowiada: „Idźcie i oznajmijcie Janowi to, co słyszeliście i na co patrzycie: niewidomi wzrok odzyskują, chromi chodzą, trędowaci doznają oczyszczenia, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim głosi się Ewangelię” (Mt 11, 3-5).

Jeszcze raz proszę wszystkich i każdego z osobna: Ilekroć wstajecie do słuchania Ewangelii, dokonajcie wysiłku odłożenia swojej broni, zostawienia swoich racji, swojego sposobu myślenia. Ewangelia do ciebie nie dotrze, jeśli słuchasz jej z nastawieniem: „Ja sobie w życiu dam radę, będę prosił Pana Boga, żeby pokazał przed innymi, że to ja mam rację”. Ewangelia ogarnie cię zaś całą swą mocą, gdy przyjmiesz postawę człowieka ubogiego i powiesz: „Naprawdę nie wiem, co zrobić. Wprawdzie mam wiele możliwości, ale to są tylko moje możliwości, więc mówię: «Panie Boże, uczyn mnie prostym i pokornym przed Tobą oraz drugim człowiekiem, żeby Ewangelia stała się we mnie i zakorzeniła się w moim sercu»”.

Homilia – pomocą w przeżywaniu tajemnicy Jezusa Chrystusa

Katecheza liturgiczna wygłoszona w niedzielę 30 stycznia w katedrze siedleckiej

Homilia stanowi integralny, bardzo ważny moment Mszy świętej. Jej istotną funkcją jest komunikowanie się w celebrowanych sprawach Bożych między tym, kto przewodniczy celebracji, a całym zgromadzeniem. Ma ona wytworzyć atmosferę wspólnoty, tak byśmy mogli wejść przygotowani w to wszystko, co jest zawarte w następnej części Eucharystii – w Liturgii Ofiary.

Aby lepiej słuchać homilii i głębiej przeżyć ten moment Mszy świętej, należy najpierw mieć świadomość pewnych trudności, by móc je pokonywać. Z jednej strony mogą one wynikać ze strony wygłaszającego homilię, z drugiej zaś ich przyczyna może polegać na tym, że słuchający mają nieodpowiednie nastawienie do tego, co słowo interpretowane przez głównego celebransa i przekazywane w formie homilii chce i może nam powiedzieć, czego mamy po nim oczekiwać, a czego nie powinniśmy się spodziewać, co się powinno w nas dziać pod jego wpływem.

Liturgia: tu i teraz dokonuje się dzieło zbawcze

Celebrans głoszący homilię musi być do niej dobrze przygotowany. Nie chodzi tu tylko o bezpośrednie przygotowanie do wygłoszenia tej jednej, konkretnej homilii. Ważniejsze jest bowiem przygotowanie szersze, obejmujące całość jego postawy wiary. Homilię będzie dobrze głosił ten, kto wierzy, że to, co sprawujemy podczas każdej konkretnej liturgii, jest aktualnym – odbywającym się tu i teraz działaniem Pana Boga.

To wymaga wielkiego wysiłku ze strony wszystkich, którzy w niej uczestniczą, a szczególnie tego, kto liturgii przewodniczy. Nie może on jej przeżywać tylko na płaszczyźnie zewnętrznej, jako określonego rytu – zestawu czynności sprawowanych krok po kroku, ale w liturgii musi dawać siebie tu i teraz, by za pośrednictwem tych znaków, dokonywała się sprawa Boża w nim i w tych, którym przewodniczy, a którzy tworzą zgromadzenie. Dla celebransa ważna jest świadomość tego: we mnie, przede mną, za moim pośrednictwem, przez moje dokonywanie znaków, przez postawy, gesty, słowa, przez mój sposób myślenia dokonuje się dzieło zbawcze.

W każdej liturgii Jezus wydaje się za człowieka grzesznego

Towarzyszące sprawowaniu liturgii gesty i znaki to przywoływanie obecności Boga i działania Boga w Jezusie Chrystusie, który umarł i zmartwychwstał. W liturgii uczestniczę po to, by to Boże działanie wpłynęło na mnie, na moją postawę, by mnie przemieniło. Jeśli przyjdę na liturgię tylko dla spełnienia obowiązku albo po to, by Panu Bogu przedstawić swoje życzenia, to jej dobrze nie przeżyję. To dotyczy zarówno tego, kto przewodniczy liturgii, jak i każdego z jej uczestników.

Słowo Boga, przychodząc do mnie podczas konkretnej celebracji, może mnie wyprowadzić z mojego zamknięcia, dać nową orientację w życiu. To nie jest teoria, która może się czasem czy gdzieś tam sprawdzać, ale to jest rzeczywistość dziejąca się w tej chwili – tu i teraz.

Głoszący homilię powinien mieć świadomość, że uczestnicy liturgii to ludzie wprawdzie słabi i upadający, ale wierzący – którzy potrzebują spotkania z Jezusem Chrystusem, potrzebują zbawienia. Nie tyle moralizatorskiego pouczenia, jak mają postępować, bo to się powinno odbywać gdzie indziej, ale potrzebują spotkania z Jezusem, który wydaje siebie za człowieka grzesznego. To jest bardzo ważny aspekt świadomości zarówno głoszącego, jak i słuchających, bo nie zawsze jesteśmy przygotowani do tego, by słuchać homilii w postawie potrzebujących zbawienia. Oczekujemy spełnienia się w naszym życiu pewnych dóbr, ale to, czego oczekujemy, nie zawsze jest istotnym dobrem dla nas. Nie wiemy bowiem do końca, czego nam potrzeba, dlatego abyśmy mogli wejść w całe to wydarzenie, które się dokonuje podczas zgromadzenia, a którym jest wydanie się Jezusa Chrystusa, i abyśmy mogli przyjąć dar Boga, potrzeba nam wybawienia od siebie – od swoich wizji, koncepcji, pomysłów na nasze dobro, szczęście.

W liturgii otwórzmy się na dar Boga

Dlatego tak bardzo jest potrzebne, by głoszący homilię – sam świadom tego, co się w niej dokonuje – pomagał uczestnikom liturgii rozumieć i przeżywać, co jest w niej

istotne, czego możemy i powinniśmy się po niej spodziewać. Nie zawsze bowiem wiemy i nie tego oczekujemy, co jest dla nas dobre. Myślimy o tym, co nam się wydaje dla nas dobre, dlatego często rozmijamy się z tym dobrem, jakim chce nas obdarzyć Pan Bóg. Czasami dzieje się tak z powodu niewłaściwego głoszenia, ale czasami dlatego, że nie jesteśmy otwarci na to, co Bóg dla nas przygotował.

Otwarcie to może się dokonywać w postawie gotowości, spokoju, wyciszenia – gdy przyjmujemy postawę człowieka, który chce coś usłyszeć, bo wie, że jest maluczki, potrzebujący światła. Nie przyjmę daru Boga, gdy przychodzę na liturgię dokładnie wiedząc, czego mi potrzeba, i chcę tylko otrzymać to, czego ja chcę. Św. Paweł nazywa to szukaniem nauki, która łechce ucho (zob. 2 Tm 4,3), która nam się podoba i schlebia nam.

Homilia nie musi nam się podobać, ale musi nam pomóc wchodzić we właściwe przeżywanie tajemnic Jezusa Chrystusa. Z drugiej strony nie wszystkie homilie czy kazania, które się podobają, są dobre, bo można mówić to, czego lud oczekuje, co się ludowi podoba, i rozminąć się z prawdą Jezusa Chrystusa.

Dlatego potrzebna jest postawa: jestem gotów na to, by Bóg we mnie działał. Często jednak nie jesteśmy do tego przygotowani, dlatego homilia jest dla nas trudna do przyjęcia.

Kerygmat – obwieszczenie Dobrej Nowiny: Jezus jest z nami w naszym kryzysie

Pierwszym sposobem przepowiadania jest kerygmat, czyli obwieszczenie Dobrej Nowiny, że w Jezusie Chrystusie Bóg przyszedł do człowieka, spotkał go w sytuacjach kryzysu, życiowego bankructwa – niezależnie od tego, czy zawinionego, czy nie – i go uratował. Często jednak nie przeżyliśmy właściwie etapu kerygmatu, w którym byśmy poznali Jezusa i doświadczyli, że On nas przyjął, zaakceptował, że był z nami, gdy stało się nam coś złego z powodu grzechu naszego lub czyjegoś innego czy z powodu jakiegokolwiek niesprawiedliwości. Każdy z nas przeżył sytuację, gdy czuł się pokrzywdzony, źle potraktowany, ukrzyżowany lub gdy sam pobłądził, nie akceptował swego życia, buntował się wewnątrz, czuł się wyrzutkiem; gdy dotknął najtrudniejszych momentów życia – jak to się mówi – dotknął dna. I tam Jezus był z nami jako Ukrzyżowany.

Jeśli takie doświadczenie jest w nas, to potrafimy Jezusa słuchać. Brakuje nam jednak dzisiaj właściwej inicjacji – wprowadzenia w te prawdy – i dlatego przychodzimy do kościoła, oczekując czegoś innego niż to, co jest dla nas konieczne, byśmy mogli iść za Jezusem. Nasze zapotrzebowania bywają różne od tego, czego nam naprawdę potrzeba, bo nie chcemy się przyznać do swego kryzysu, dna, doświadczenia braku, bezsilności, poczucia krzywdy i niesprawiedliwości. Przyznanie się do takiej sytuacji jest dla nas bardzo trudne, dlatego chcemy zachować zewnętrzne pozory, że wszystko jest w porządku. Nie chcemy uchodzić za ludzi, których życie boleśnie dotknęło – chociaż dotknęło każdego z nas. Stąd też, przychodząc na liturgię, zazwyczaj chcemy, żeby Pan Bóg spełnił nasze prośby i uzupełnił nasze braki – określone przez nas, a nie zawsze chcemy dać się dotknąć tam, gdzie nas naprawdę boli i gdzie Jezus daje nam się spotkać.

Bóg leczy nasze wnętrza

Gdy uczynimy wysiłek obiektywnego spojrzenia na siebie, zobaczymy, że niejednokrotnie zachowujemy się dosyć dziwnie. Możemy to sobie przybliżyć korzystając z następującego obrazu: Przychodzimy do apteki, w której, jak wiadomo, sprzedaje się lekarstwa – zazwyczaj są one gorzkie – a chcielibyśmy kupić słodkie ciastko albo lody. Oczywiście, czasem i aptekarz ma pod ręką cukierki dla dzieci, by je zachęcić do brania lekarstw. Także Pan Bóg, jako znający słabości człowieka Aptekarz, ma w zanadru i słodczyce; i da nam czasem ciastko czy loda, to znaczy, spełni nasze prośby, ale jednocześnie mówi: „Człowieku, tobie potrzeba innego lekarstwa. Tymi słodkościami nie uratujesz swojego życia. Ja dam ci lekarstwo trudne, które jednak może uleczyć wszystko”. Czy odpowiesz Bogu: „Nie, dziękuję, wolę jednak cukiereczka?”.

Jakie lekarstwo daje nam Bóg tutaj, na Eucharystii? Krzyż Jezusa Chrystusa – Jego śmierć i zmartwychwstanie. Jego recepta brzmi: „Człowieku, nie szukaj ludzkich sprawiedliwości. Nie próbuj udowodniać przed innymi, że masz rację. Nie domagaj się ciągłych pochwał, oklasków. A gdy ich nie dostajesz, nie chodź naburmuszony z nosem na kwintę, bo tyle pracowałeś, tak się poświęciłeś, a inni tego nie uznali: dzieci odeszły z domu, sąsiedzi się pogniewali, z pracy cię wyrzucili”.

Pomyślmy, ile mamy poczucia krzywdy w relacjach w pracy, w rodzinie? I chcielibyśmy to wszystko wyrównać, osłodzić, zaspokoić: otrzymać ciastko, cukierka. Jezus Chrystus nie chce leczyć nas tylko w ten sposób, że zaklei zakażoną ranę plasterkiem, ale pragnie dać nam lek od wewnątrz, który pozwoli nam przyjmować niesprawiedliwość, krzywdę, zło ze strony drugiego człowieka. Chce dać nam moc przyjmowania tego, co w oczach świata czyni nasze życie niedowartościowanym, skrzywdzonym, ukrzyżowanym. To On mówi nam całym sobą: „Ja zostałem najbardziej skrzywdzony. Byłem niewinny, przyszedłem do grzeszników – do ciebie, a tyś mnie ukrzyżował, ale Ja ci dałem przebaczenie, bo tylko to może cię uratować. Jak długo bowiem będziesz chciał szukać tylko twoich racji, nigdy się nie uratujesz, całe życie będą cię nękały problemy, a serce ci zatrują pretensje do innych. Będziesz musiał szukać towarzystwa ludzi podobnych do ciebie – takich, którzy będą cię chwaliли”. I znowu spójrzmy, ileż mamy takich kółek wzajemnej adoracji, w których jest nam dobrze – oczywiście dopóty, dopóki nas chwalą. A gdy i tam przestaną nas chwalić i akceptować, odchodzimy nierzadko poróżnienie i skłócenie.

Któż z nas takich sytuacji nie przeżył: było nam dobrze, a teraz jest nam źle. Dlaczego? Bo szukałem tego, co mi odpowiada, a nie nauczyłem się spotykać z drugim człowiekiem w prawdzie. Nie nauczyłem się spotykać z innym, który może postąpić ze mną źle, ale to nie znaczy, że świat się zawali. Ja też źle postępuję z innymi. W Jezusie Chrystusie mam moc przeżywania przebaczenia.

Nie moja, ale Twoja wola

Muszę sobie zatem postawić ważne pytanie: Czy przychodzę na Eucharystię z potrzebą spotkania Jezusa Chrystusa takiego, jaki On jest i korzystania z tego, co On chce mi zaproponować? Czy też chcę Go stworzyć na swój obraz – takiego, jaki jest mi potrzebny i jaki mi się spodoba?

W naszej ludzkiej naturze leży dążenie, potrzeba, by wyjść na swoje. Dotyczy to wszystkich – nie wyłączam siebie; sam z siebie też chcę wyjść na swoje. Ale na szczęście mogę tutaj trzymać się Jezusa i mówić Mu: „Panie Jezu, nie moja, ale Twoja wola; nie moja, ale Twoja racja”. I dobrze jest, gdy się okazuje, że nie ja mam rację, ale sprawy toczą się według zamysłu Pana Boga.

Jak długo nie mamy takiej postawy: otwarcia się na racje Boga, poddania się Jego woli, tak długo nie przeżyjemy dobrze liturgii, nie będziemy słuchać homilii, bo jej treści okażą się rozbieżne z naszymi zapotrzebowaniami i oczekiwaniami.

Jak wspominałem, Pan Bóg jako dobry Aptekarz niejednokrotnie da dziecku i cukierek, i ciastko; uzdrowi cię z tej czy innej dolegliwości, która ci doskwiera. Stale jednak ci uświadamia, że nie w tym leży istota problemu. Mówi ci: „Człowieku, nie chodzi tylko o to, byś został zaspokojony w takim czy innym aspekcie twojego życia. Tu trzeba permanentnego uzdrowienia – trzeba nowego serca”.

Pomoże nam to zrozumieć dzisiejsza liturgia słowa, która da nam okazję do zastanowienia się: Czy chcemy się zbliżyć do Jezusa, który ma lekarstwo na wszystko, bo może przemienić wnętrze człowieka? Czy przychodzimy tu, oczekując zaspokojenia naszych potrzeb – potrzeb starego człowieka, tego, który żyje dla siebie? Jezus ma lekarstwo, ma taką moc, która z człowieka żyjącego dla siebie uczyni człowieka nowego, który żyje dla drugiego, który potrafi żyć z krzyżem, a nawet potrafi nieść krzyż drugiego człowieka, potrafi przebaczać, znosić niesprawiedliwość, upokorzenie.

Jezus chodził po całej Galilei, głosił Ewangelię i leczył różne choroby wśród ludu. Znoszono Mu różnych chorych – niektórych uzdrowił. Potem jednak zrobił coś dziwnego: wszedł na górę, przystąpili do Niego uczniowie, a On zaczął ich nauczać. W Kazaniu na Górze dał im lekarstwo na wszystkie choroby, bóle i dolegliwości. Jakie to było lekarstwo? Błogosławieni ubodzy w duchu, błogosławieni, którzy płaczą, cierpią, są prześladowani; błogosławieni, którzy wprowadzają pokój – są miłośnikami, przebaczą, nie dochodzą swego.

Zasadnicze pytanie dzisiejszej liturgii brzmi: „Czy chcesz się zbliżyć do takiego Jezusa, czy oczekujesz, by ci dał takie wnętrze, jakim jest Jego wnętrze, Jego serce?”. On określa siebie właśnie w tych błogosławieństwach, które dzisiaj będą nam proklamowane w liturgii. Czy chcesz mieć takiego ducha?

Czy uważasz ludzi, którzy mają ducha Jezusa, za błogosławionych, czyli szczęśliwych? Czy uważasz siebie za błogosławionego, gdy podobnie dzieje się w twoim życiu? Zazwyczaj nie, chociaż jesteśmy biedni, prześladowani, wprowadzamy pokój, czynimy jakieś akty miłosierdzia. Jednak nie zawsze potrafimy docenić te sytuacje, doświadczyć w nich szczególnej bliskości Jezusa. A właśnie dzięki temu ubóstwo, cichość, prześladowanie stają się błogosławieństwem, bo nie są nim same w sobie. Jezus mówi: „Ja ci dam właśnie takiego ducha, mojego ducha. Zgódź się na to, że możesz być doświadczony krzyżem, a Ja będę wówczas z tobą. Nie będą to łatwe chwile, ale zobaczysz, że Ja jestem wierny i wtedy przekonasz się, że w tobie się dokona coś innego – wejdiesz w komunię, we wspólnotę z innymi”. Dlatego też w czasie liturgii w naszym wnętrzu, w naszych myślach przystępujemy do Jezusa i mówmy: „Panie Jezu, spraw, bym potrafił stawać wobec drugiego człowieka w postawie pokornej, która czasem wydaje się być przegraną; bym potrafił być choć tro-

chę przegrany, prześladowany”. To jest moje przystępowanie do Jezusa i leczenie mego wnętrza, bo jestem chory na to, że chcę być pierwszy, bogaty, chcę mieć rację. Z tej mojej choroby, choroby każdego z nas wychodzi też zaraza na całą rodzinę i społeczność. Dlatego przystąpmy do Jezusa – nie po to tylko, by uzdrowiał nasze zewnętrzne choroby – kolana czy oczu, chociaż i to może uczynić i czyni, ale ze świadomością, że On jest tym, który nas może przemienić na swój obraz. Dlatego celebруем Go w Eucharystii – Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego, który obdarcza nas sobą, by nas czynić podobnymi do siebie. Takiego Jezusa przyjmijmy w czasie liturgii i oczekujmy od Niego takiego ducha, takiej postawy, abyśmy z nimi mogli iść w naszą codzienność i według nich kształtować nasze relacje z drugim człowiekiem.

Homilia - przepowiadanie mistagogiczne

Katecheza liturgiczna wygłoszona w niedzielę 6 lutego w Woli Gułowskiej

W dzisiejszej katechezie będziemy kontynuować temat homilii. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że homilia ma swoje szczególne miejsce w przepowiadaniu słowa Bożego. Trzy różne sposoby głoszenia słowa, jakimi są kerygmat, katecheza i homilia nie są tylko różnymi określeniami przepowiadania, ale wiążą się z inicjacją w życie chrześcijańskie i z poszczególnymi etapami postępowania w wierze. Homilia zasadniczo kierowana jest do tych, którzy są już dojrzałymi w wierze. Ten etap możemy nazwać mistagogią (mistagogia to słowo pochodzące z języka greckiego, oznaczające wprowadzenie w tajemnice).

W naszych kościołach mamy wielu chrześcijan, którzy nie weszli jeszcze w pełni nawet na pierwszy etap wiary. Dlatego mówi się o potrzebie nowej ewangelizacji.

Nowa ewangelizacja: stanąć przed drugim w pozycji słabszego

Z wielkim bólem jako biskup obserwuję, że wielu chrześcijan chodzi do kościoła, modli się, a jednocześnie nie przyjmuje całej prawdy o Jezusie Chrystusie ukrzyżowanym i zmartwychwstałym. Z tego wynika brak konsekwencji w życiu moralnym. Jakże często bowiem na co dzień brakuje zgody, dobrze rozumianej solidarności, wzajemnej pomocy, umiejętności przebaczenia. Dlatego potrzebna jest nowa ewangelizacja, nowy sposób przemawiania do młodego pokolenia, by młodzi mogli przekonać się, że Jezus Chrystus odpowiedział na wszystkie życiowe problemy każdego człowieka. To jest możliwe tylko dzięki postawie osób, które same tego doświadczyły.

Takie świadectwo złożył św. Paweł. Dzisiaj w drugim czytaniu usłyszymy słowa Apostoła Narodów: „...przyszedłszy do was, bracia, nie przybyłem, aby błyszczać słowem i mądrością głosić wam świadectwo Boże. Postanowiłem bowiem, będąc wśród was, nie znać niczego więcej jak tylko Jezusa Chrystusa, i to ukrzyżowanego. I stanąłem przed wami w słabości i w bojaźni, i z wielkim drżeniem” (1 Kor 2,1-2). Dlaczego tak się stało? Żeby się okazało, że działałem nie ja, ale moc Boża działała we

mnie; żeby wiara wasza opierała się nie na mądrości ludzkiej, lecz na mocy Bożej – mówi św. Paweł.

W naszym sposobie przekazywania wiary czy wychowywania często chcemy posługiwać się innymi środkami. Swoimi racjami, argumentami chcesz nakłonić drugiego, żeby myślał, postępował podobnie jak ty, zgodnie z twoim obrazem i programem życia. Jeśli natomiast mamy ducha Jezusa Chrystusa, to potrafimy stanąć przed drugim człowiekiem w pozycji słabszego, w pozycji kogoś, komu można wyrządzić krzywdę, kogo można gorzej potraktować itp., a on to przyjmuje oparty właśnie o moc Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego. Wiadomo, że na mocniejszego rzadko kto się porywa, chyba że z ukrycia, podstępem. Św. Paweł pisze w Liście do Koryntian, że stanął wśród nich jako słabszy: Wydałem wam siebie, mogliście mi wyrządzić krzywdę. Stałem przed wami jako słabszy, by się okazało, że nie mówię z mojej ludzkiej mocy, tylko z mocy Jezusa Chrystusa, który dał się ukrzyżować i przebaczył.

Bardzo ważne, byśmy w codziennych relacjach w naszej rodzinie, w społeczności sąsiedzkiej, na tyle, na ile jesteśmy ludźmi wierzącymi, potrafili przed drugim człowiekiem stawać w pozycji słabszego, kto się w jakiś sposób daje ukrzyżować po to, by móc przebaczyć. Oczywiście trudno od razu praktykować taką postawę w sytuacjach dużego napięcia czy zaognionych lub zastarzałych konfliktach. Trzeba z taką postawą zaczynać wzajemne relacje, wchodzić w relacje z bliźnim w oparciu o Chrystusa.

Na pewno nie wychowamy dobrze młodego pokolenia, gdy będziemy postępować apodyktycznie, żądając: Ma być tak, jak ja mówię, musicie mnie słuchać, bo ja mam rację. Bardzo ważne jest, by stanąć przed drugim w pozycji słabszego i przebaczyć.

Kerygmat – katecheza – homilia

Wracając do tematu homilii, należy zaznaczyć, że – ujmując ogólnie – całe przepowiadanie, czyli głoszenie słowa Bożego odbywa się na trzy sposoby.

Pierwszym etapem głoszenia słowa jest **kerygmat**, czyli obwieszczenie Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego, który zmartwychwstał i żyje. To obwieszczenie staje się szczególnie owocne, gdy spotyka ono człowieka wtedy, kiedy przytłacza go krzyż, kiedy znajduje się on w głębokim kryzysie. Jesteś pokrzywdzony, cierpisz – mówi mu wówczas głoszący słowo Boże – ale ja jako posłany przez Kościół, jako ten, kto sam tego wszystkiego doświadczył, obwieszczam ci, że twój krzyż: krzywda, upokorzenie, trudna sytuacja jest okazją, byś się chwycił Jezusa Chrystusa, który umarł, zmartwychwstał i żyje; żebyś w tej trudnej sytuacji mógł żyć. I to nie z oczekiwaniem i nadzieją, że ta trudna sytuacja może się rozwiązać po twojej myśli. Być może wszystko pójdzie inaczej, niż byś chciał, ale dlatego właśnie przekonasz się, że w tobie zacznie działać duch Jezusa Chrystusa, który cię uzdolni do przyjęcia krzyża, do przebaczenia drugiemu człowiekowi, do zrozumienia tego, że nie ty jesteś panem historii twego życia i życia twego bliźniego.

Obwieszczony i przyjęty kerygmat powoduje radykalną zmianę w człowieku – jego nawrócenie, uznanie tego, że nie on jest panem historii i że nie on musi mieć rację; co więcej pomaga zrozumieć, że człowiek, chcąc przeprowadzić swoje racje, pomylił się, wyrzucił Boga ze swego życia. Owocem kerygmatu jest wejście w nawrócenie i

pytanie: co mam zrobić? To pytanie wypływa z tego, że w świetle słowa Bożego (kerygmatu) ktoś zobaczył, że gdy on sam z siebie wiedział, co ma robić, pomylił się, pobłądził. Teraz prosi: powiedzcie mi, co mam zrobić?

To jest właśnie kerygmat - pierwsza faza obwieszczenia. Kto go usłyszał, kto przyjął Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego jako Pana swego życia, ten będzie posłuszny, da się prowadzić tym, którzy w Kościele mają władzę przepowiadania. Nie chodzi o taką władzę, jaką mają instytucje świeckie, ale o rodzącą się w słabości władzę mocy słowa, płynącą z krzyża Chrystusa. Wiemy, że wszyscy apostołowie doświadczyli męczeństwa. W ten sposób najdobitniej przepowiadali.

Postawa posłuszeństwa starszym w wierze umożliwia wprowadzenie drugiej fazy przepowiadania – **katechezy**. Jest to kształtowanie postaw posłuszeństwa w konkretnych sytuacjach.

Jeśli ktoś nauczy się słuchania kerygmatu i przyjmie postawę posłuszeństwa oraz dzięki katechezie nauczy się to stosować w konkretnych sytuacjach, to wówczas wchodzi w trzecią fazę przyjmowania słowa Bożego, jakie dokonuje się podczas liturgii i które ma charakter mistagogiczny. Właśnie w takim kontekście umiejscawia się **homilia**. Do tych, którzy wiedzą, że potrzebują rozumienia tajemnicy krzyża i tę tajemnicę krzyża celebrują w znakach liturgii, skierowane jest mówienie mistagogiczne, czyli homiletyczne.

Uczestnictwo w liturgii: zanurzenie w duchu Jezusa Chrystusa

W ostatniej katechezie mocno podkreśliłem, że często bywa, iż na liturgię przychodzimy z naszymi zapotrzebowaniami, które niekoniecznie są zgodne z planem Boga wobec nas, z Jego wolą. Przypomnę, że podobni jesteśmy wówczas do chorych, którzy idą do apteki, ale zamiast poprosić o lekarstwo, które faktycznie może nas uleczyć, przemienić nasze życie, życzymy sobie, tego, co nam odpowiada np.: cukierków, lodów, ciastek – tego, na co mamy w danej chwili apetyt. Tymczasem Bóg w liturgii chce nam dać lekarstwo, które może uleczyć nasze wnętrza, to znaczy przemienić je i uzdolnić do pojednania nas ze sobą i z drugim człowiekiem. Tym lekarstwem jest krzyż. Jednak nie zawsze chcemy to lekarstwo przyjmować. Liturgia to taki sposób przeżywania gestów i znaków, w których prosimy Boga, byśmy otrzymali ducha Jezusa Chrystusa, żebyśmy mogli przyjmować w naszym życiu Jego tajemnicę śmierci i zmartwychwstania. Homilia to właśnie pomoc w przyjęciu Tajemnicy Jezusa Chrystusa i odniesieniu jej do własnego życia.

Ta Tajemnica stanowi centralne wydarzenie, które powinno się realizować w życiu chrześcijanina. Dlatego jest ważne, bym miał świadomość tego, po co przychodzę na liturgię. Celem uczestniczenia w liturgii jest zanurzenie w duchu Jezusa Chrystusa. Homilia pomaga dostrzec w sobie i rozeznaczyć czy z takim nastawieniem wchodzimy w liturgię ofiary, by przyjąć dar Jezusa Chrystusa, jakim jest umiejętność umierania, trwania, przebaczenia.

Wyobraźmy sobie, że znaleźliśmy się na jarmarku. Na rynku rozstawione są kramy, przy których można kupić zdrowie, sukces, karierę, uznanie, szacunek, akceptację i miłość drugiego człowieka - to wszystko, co wydaje nam się potrzebne do życia i szczęścia. Przy tych stoiskach panuje tłok, ustawiają się przed nimi długie kolejki, choć trzeba tam zapłacić, poświęcić czas, znieść przepychanki i szturchańce. Każde-

mu chodzi o to, by być przed innymi, by więcej zdobyć dla siebie tego, co uważa za dobre.

Ale na tym rynku jest też stoisko, przy którym rozdaje się pewien „towar” za darmo. Tam jednak panuje ruch niewielki. Widać, że nie ma wielkiego zapotrzebowania na to, co tam oferują. A co tam oferują? Co jest tam rozdawane? Jest tam rozdawana moc tracenia siebie, czyli jest to moc, która pozwala człowiekowi przyjmować i właściwie przeżywać niesprawiedliwość, upokorzenie, krzywdy, umieranie.

Goniąc za karierą, sukcesem, honorem nie zauważamy innej możliwości jak tylko zdobywanie tego, co zdaje się nam odpowiadać. Natomiast mało myślimy o tym, co nas czeka i kim jesteśmy. Dlatego nie widzimy potrzeby przyjęcia tej mocy, która uzdalnia nas do przeżywania trudnych sytuacji. Chcemy zdobywać to, co nam odpowiada. Tymczasem gdy zdobędziemy, co było naszym pragnieniem, często przeżywamy rozczarowanie. Natomiast jeśli otrzymamy to, co Jezus daje nam darmo, czyli Jego moc umierania – znoszenia krzyża, niesprawiedliwości itp. (podkreślam, że nie chodzi tu o samą niesprawiedliwość, o trudności, kryzysy, upokorzenia, umieranie, ale moc do przeżywania tego wszystkiego), to nic nami nie zachwieje.

Dar Boga: moc umierania

Właśnie podczas Eucharystii otrzymujemy tę moc: żeby móc przeżywać trudne sytuacje – razem z Jezusem, który je już przeżył. Homilia zaś to czas, kiedy po czytaniach liturgicznych przewodniczący liturgii zwraca się do ludzi wierzących, którzy dzięki kerygmatowi przyjęli Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego jako fundament swego życia; którzy w katechezie nauczyli się Go słuchać zgodnie z tym, jak uczy Kościół. Kapłan celebrujący pomaga im zrozumieć prawdę i przyjąć postawę, w której wyraża się gotowość przylgnięcia do Jezusa, od którego można darmo otrzymać moc umierania. Zachęca też: „Człowieku, przystąp do tej tajemnicy”.

To jest bardzo ważna decyzja. Zaczyna się niejednokrotnie rodzić w tobie się sprzeciw, bo wolałbyś przystąpić tam, gdzie dadzą ci szczęście, zdrowie, honor – tak jak ty chcesz.

Krótko mówiąc rola homilii jest następująca: ma ci pomóc w podjęciu wewnętrznej decyzji, że tu, w kościele, podczas celebracji - duchowo przystępujesz do Jezusa i sakramentalnie przyjmujesz Go w komunii świętej po to, byś po powrocie do domu, gdy zaistnieją trudne sytuacje, potrafił też do Niego przystąpić i razem z Nim przeżywał to, co staje przed tobą; abyś otrzymał moc przeżywania niesprawiedliwości, krzywdy, upokorzeń, krzyża. Byś nie był już tylko człowiekiem, który stale żyje pod naciskiem, że musi odnieść sukces, musi być piękny, silny, zdrowy i bogaty oraz że zawsze musisz mieć rację.

Homilia pomaga uczestnikom liturgii przylgnąć do Jezusa Chrystusa i wejść w komunię z Nim, z Jego duchem i Jego mentalnością. Pozwala podjąć kroki, by przekonać się, że dobrze jest być posłusznym Jego tajemnicy. Prowadzi ona nas w zupełnie innym kierunku niż ten, w który nas popycha świat, dlatego dobrze przeżyta liturgia kształtuje naszą mentalność, nasz sposób myślenia w inny sposób, niż to czyni świat.

Wychowanie do umiejętności tracenia

Na niezwykle ważne, aktualne pytanie: Jak przekazać wiarę młodemu pokoleniu? – odpowiedź otrzymujemy podczas liturgii. Liturgia bowiem to wprowadzenie nas w tajemnicę śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, która potem staje się naszą codziennością, przenika nasze postawy, nasze relacje, także w relacjach z młodymi. Gdy ojciec czy matka swoją postawą przekażą swemu dziecku – dorastającemu chłopcu czy dziewczynie – że nie zdobycie pieniędzy, osiągnięcie sukcesu, zdobycie pierwszego miejsca jest najważniejsze w życiu, ale posiadanie w sobie mocy Jezusa Chrystusa, która pomaga przeżywać trudne sytuacje: upokorzenie, niesprawiedliwość, przegraną. Jeśli sam jako ojciec czy matka, jako katecheta czy wychowawca przeżywasz te sytuacje z Chrystusem na oczach swoich dzieci czy wychowanków, to właśnie wtedy najlepiej przekażesz im swoją wiarę i pomożesz im. Jeśli przekażesz tę prawdę swojemu dziecku, a ono ją przyjmie – może nie przyjmie od razu, może najpierw nawet odrzuci, ale z pewnością do tego kiedyś wróci – to dasz mu największy dar, większy niż jakikolwiek spadek, nawet większy niż wykształcenie i kultura, pieniądze itp.

Gdy przekażesz dziecku, że z Jezusa Chrystusa może czerpać moc do stawiania czoła propozycjom świata – temu wszystkiemu, czym jest po ludzku rozumiany sukces, gdy przekażesz mu moc wchodzenia w tajemnice umierania i zmartwychwstania, to ty – jako rodzic czy wychowawca – po raz drugi dasz mu życie. Jak dziecko zrodziłeś z ciała, tak ponownie je zrodzisz, by mogło żyć w tym świecie, gdzie się umiera, choć człowiek nie chce umierać i się przed tym broni. W tym właśnie świecie chrześcijanin umie nieść krzyż i umierać, ponieważ Jezus Chrystus umarł i zmartwychwstał.

Nie uciekaj od krzyża

Właśnie podczas homilii przewodniczący liturgii stawia przed tobą propozycję, byś popatrzył na związek tajemnicy Jezusa z twoją dzisiejszą sytuacją życiową. Może jesteś w konflikcie z żoną czy mężem i nie możesz się przezwyciężyć, by wyciągnąć rękę, bo ci honor nie pozwala. „To ona źle postąpiła, zawiniła, niech zobaczy, że się pomyliła” – myślisz. I czasem są ciche dni, bo żadnej ze stron nie stać na postawienie siebie w pozycji słabszego, na przegranie przed drugim. Stąd rodzą się napięcia. Jeśli to dzieci widzą, mówią: „Ojciec i matka idą do kościoła, a ze sobą nie rozmawiają”. Tak się dzieje gdyż żadne z nich nie chce wejść w pozycję Jezusa: być ukrzyżowanym, przegrać przed drugim, dać miejsce Jezusowi. Wtedy to dzieci dostrzegają twoją obłudę, dwulicowość i fałsz, i taką pobożność odrzucają.

Albo uciekasz od trudnych sytuacji w różnego rodzaju zainteresowania, hobby, nałogi czy opuszczasz dom i wiążesz się z inną osobą, bo tobie z twoją rodziną jest trudno czy niewygodnie. Nie umiesz dobrze przeżywać swoich trudnych sytuacji, dlatego alienujesz się, wyobcowujesz, uciekasz gdzieś, bo chcesz być zadowolony z siebie. Na to patrzą twoje dzieci, twoi wychowankowie. Ty przekazujesz im swoje postawy życiowe. Czasem one są przyjmowane jako atrakcyjne, modne. Jednak prędzej czy później zostaniesz sam z tymi postawami.

Tymczasem na liturgii Jezus mówi: „Człowieku, przyjmij tę trudną sytuację i nie uciekaj od swego krzyża, od tego, że nie jesteś w pełni zaakceptowany”. Chrystus idzie z Tobą w życie, chce ci dać swego ducha, żebyś poprawnie przeżywał swoją trudną sytuację.

Na trudności człowiek reaguje też agresją, przemocą. Skoro zostałeś skrzywdzony, chcesz się zemścić. „Zostaw miecz” – powstrzymuje cię Jezus, tak jak św. Piotra, gdy ten chciał Go bronić. Nie bój się i wejdź w pozycję przegraną.

To może się stawać we wspólnocie ludzi, którzy wierzą w Jezusa Chrystusa.

W dzisiejszej Ewangelii usłyszymy mocne słowa: „Wy jesteście solą ziemi, wy jesteście światłością świata”. Jezus nie mówi: „Wy macie być”, ale właśnie: „Jesteście”. A jesteśmy solą i światłem, gdy idziemy za Jezusem i przyjmujemy od Niego moc umierania.

Wyznanie wiary – odpowiedzią na słowo Boże

Katecheza liturgiczna wygłoszona 13 lutego w katedrze siedleckiej

W dotychczasowych katechezach poświęconych liturgii słowa omówiliśmy czytania, następnie zatrzymaliśmy się nad homilią, podkreślając jej odmienność od tych sposobów przepowiadania, jakimi są kerygmat oraz katecheza. Dziś przejdziemy do następnego elementu liturgii słowa, jakim jest wyznanie wiary.

„Ogólne Wprowadzenie do Mszału Rzymskiego” mówi na temat wyznania wiary: „Symbol, czyli wyznanie wiary, zmierza do tego, aby cały lud zgromadzony dał odpowiedź na Boże słowo zwiastowane w czytaniach Pisma Świętego i wyjaśnione w homilii oraz przez wypowiedzenie reguły wiary według formuły zatwierdzonej do użytku liturgicznego przypomniawszy sobie i uczciwszy wielkie misteria wiary przed rozpoczęciem ich celebracji w Eucharystii. Symbol winien być śpiewany lub recytowany przez kapłana i lud w niedziele i uroczystości; można go wykonać także z okazji szczególnie uroczystych celebracji” (OWMR 67-68).

Wyznanie wiary w historii Kościoła

Zatrzymajmy się nad aspektem historycznym, by prześledzić, w jaki sposób wyznanie wiary weszło do liturgii. Nie jest to takie proste i jednoznaczne. Istniały bowiem różne formy wyznania wiary i w różnych okolicznościach je stosowano.

W najstarszych przekazach o celebracji Eucharystii nie ma mowy o wyznaniu wiary (np. u św. Justyna) podczas samej celebracji. W pierwszych wiekach wyznanie wiary było związane głównie z sakramentem chrztu. Dokonywało się ono na drodze katechumenatu i stanowiło integralną część liturgii chrzcielnej obrzędu chrztu.

Przed Soborem Watykańskim II – co mogą jeszcze pamiętać starsi – podczas liturgii było recytowane przede wszystkim wyznanie wiary w formie Składu Apostolskiego (zaczynającego się od słów: „Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego”). Sobór wprowadził bardziej złożone tzw. Wyznanie nicejsko-konstantynopolińskie (wiążące z soborami w Nicei i Konstantynopolu).

Symbol wiary nosi też nazwę Składu Apostolskiego. Słowo symbol (z greckiego: *sym-ballo* – *zrzucam razem*) oznacza złączenie, złożenie, czyli skład, stąd nazwa Skład Apostolski. W starożytności symbol był znakiem służącym do identyfikacji

osób – dla określenia przynależności danej osoby do kogoś czy np. w przypadku wyznaczonego spotkania. Brano wówczas jakiś przedmiot – pieczęć czy tabliczkę glinianą – łamano go i zainteresowane osoby otrzymywały jego część jako znak identyfikacyjny. Gdy osoby posiadające taki znak rozpoznawczy spotkały się, składały fragmenty połamanego przedmiotu i w ten sposób potwierdzały swoją tożsamość. Podobnie było, gdy ktoś przekazał swój znak posłańcowi, osobie zaufanej czy reprezentującej go, występującej w jego imieniu. Również jego tożsamość potwierdzano przykładając część tabliczki czy pieczęci do znaku tego, do kogo został posłany. Zatem symbol pomagał identyfikować tożsamość osoby mającej udział w pewnej rzeczywistości, uczestniczącej w pewnym wydarzeniu.

Określenie Symbol / Skład Apostolski pochodzi z przełomu IV i V w., prawdopodobnie zaczerpnięte zostało z pism Rufina. Pisze on, że każdy z dwunastu Apostołów przed wyruszeniem na misje miał zabrać ze sobą jeden z dwunastu artykułów wiary. Gdy się ponownie spotykali, łączyli, czyli składali te poszczególne części, artykuły wiary. Nawet we wcześniejszych pismach spotykamy wiązanie poszczególnych artykułów wiary z imionami poszczególnych Apostołów. Motyw ten był rozwijany potem także u św. Augustyna.

Należy jednak zauważyć, że w czasach Nowego Testamentu wyznanie wiary nie było jeszcze tak kompletnie sformułowane, jak to mamy obecnie. Elementy wyznania wiary występowały natomiast w różnych formułach, wypowiedzianych przy okazji udzielania sakramentów, szczególnie inicjacyjnych, czyli chrztu i bierzmowania czy sakramentu Eucharystii. Ślady tego mamy np. w Liście do Rzymian, gdzie jest powiedziane: „Jeżeli więc ustami swymi wyznasz, że JEZUS JEST PANEM, i w swoim sercu uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych – osiągniesz zbawienie” (Rz 10,9).

Słowa te świadczą, że w Kościele bardzo wcześnie były praktykowane formy wyznania poszczególnych prawd wiary. Wiele elementów wyznania wiary w Boga Ojca, Syna Bożego, odkupienie, moc Ducha Świętego występuje w Liście do Efezjan, w hymnie rozpoczynającym się od słów: „Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa” (Rz 1,3).

Sam sposób sformułowania i wypowiedziania wyznania wiary może być różny. Podczas szczególnych celebracji niekiedy są czytane pewne jego fragmenty, czasem są one inaczej sformułowane, ale mają te same treści, a niekiedy wspólnota odpowiada aklamacją: „Wierzimy”, „Wyznajemy”.

Wyznanie wiary powinno być recytowane lub śpiewane przez kapłana i lud w niedziele oraz w uroczystości; może być ono wykonane także przy okazji różnych celebracji liturgicznych poza Eucharystią. Jeśli wyznanie wiary jest śpiewane, intonuje je kapłan albo, zależnie od okoliczności, kantor lub schola; podejmują zaś wszyscy zgromadzeni albo śpiewają na przemian ze scholą. Można je bowiem recytować czy śpiewać naprzemiennie.

Przekazywanie prawd wiary w Kościele

Pierwotnie wyznanie wiary w tej postaci, jaką mamy dziś, nie występowało w czasie sprawowania Eucharystii. Włączono je do liturgii w czasie, gdy powstały różnego rodzaju herezje, błędy i kiedy zanikła instytucja katechumenatu, którego nam dzisiaj tak potrzeba i do czego musimy wracać.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa wstąpienie do Kościoła nie było łatwe, szczególnie w czasach prześladowań. Kandydatom pragnącym wejść do wspólnoty chrześcijańskiej, wówczas prześladowanej, stawiano różnego rodzaju progi, wprowadzono w tajemnice wiary (*arcana fidei*).

Tak więc w pierwotnym Kościele istniała tradycja, czyli przekazywanie prawd wiary. Dokonywało się to w katechumenacie obejmującym obrzędy wtajemniczenia czy – inaczej mówiąc – inicjacji. Następnie, jeśli ktoś po zaczynał wierzyć w Boga Ojca Wszechmogącego, w Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, Ducha Świętego, odpuszczenie grzechów, w Kościół, to potrzebował jeszcze weryfikacji. Odbywały się skrutynia, czyli swego rodzaju badanie wiary. Kandydat do chrztu otrzymywał ten symbol wiary – jego prawdy w rycie zwanym *traditio symboli*, czyli przekazania symbolu wiary. Chodziło o to, by sprawdzić czy kandydat do chrztu miał postawę wyrażającą wiarę w konfrontacji ze światem. Otrzymane prawdy niósł ze sobą w świat. Oczywiście, nie pozostawiano go samemu sobie: inni mu towarzyszyli, ale i sprawdzali, jak ten kandydat (katechumen) realizował w życiu otrzymane prawdy wiary.

Dopiero po pewnej życiowej weryfikacji następowało oddanie symbolu wiary, czyli złożenie wyznania wiary (*redditio symboli*), świadectwo dopasowania własnego życia do otrzymanych prawd. Dokonywało się to publicznie, we wspólnocie Kościoła. Nie było to tylko formalne wyrecytowanie tekstu wyznania wiary, ale świadectwo o tym, że nastąpiło swoiste przyłgnięcie do prawd wiary. Takie wyznanie wiary było warunkiem koniecznym, by katechumeni mogli zostać dopuszczeni do przyjęcia chrztu.

Na początku IV w., po Edykcie mediolańskim, kończą się prześladowania, chrześcijaństwo staje się religią uznaną i jest masowo przyjmowane. Kościół ma coraz to większy wpływ na wszystkie dziedziny życia. Dobrze spełnia swoją rolę instytucja katechumenatu.

W następnych wiekach (VII i VIII), gdy w dużej mierze nastąpiła chrystianizacja Europy, chrześcijaństwo stało się religią oficjalną i odwrotnie niż w czasach prześladowań, łatwiej żyło się chrześcijanom niż niechrześcijanom, toteż nastąpiło masowe wstępowanie do Kościoła. Odpowiednia formacja nie zawsze szła w parze z tym masowym napływem nowych wyznawców. Spowodowało to obniżenie poziomu przygotowania do przyjęcia chrztu. Zmienił się też sposób weryfikacji, a więc i odczucie konieczności wcielania przyjętych prawd wiary w życie codzienne.

W państwie chrześcijańskim wszystkie instytucje, a w konsekwencji styl życia stał się (przynajmniej teoretycznie) chrześcijański. To z jednej strony pomagało ludziom wzrastać w wierze, ale z drugiej – nie zawsze prowadziło do osobistego przeżycia wiary. Czasami więc chrześcijaństwo ograniczało się do przyjęcia zewnętrznych form, obyczajów bez doświadczenia i przyjęcia Boga jako Tego, który żyje i działa – prowadzi człowieka w jego życiu.

Rodzice pierwszymi katechistami

Spróbujmy porównać ten historyczny tryb przekazywania wiary z dzisiejszą praktyką. Gdy dziecko się urodzi, rodzice – jak to się mówi popularnie – „chodzą do kościoła”, przynoszą niemowlę do chrztu. Jeśli są oni wierzącymi z przekonania i ich wiara ma odbicie w ich życiu, jest też gwarancja, że to dziecko będzie wychowane po

chrześcijańsku – przeżyje ono rodzinny katechumenat, czyli wprowadzenie w Misterium Chrystusa. Czasem jednak wiara rodziców nie jest wyraźna a ich przynależność do Kościoła jest tylko formalna, na co dzień nie praktykują, żyją jakby poza nauką Ewangelii i Kościoła, ale chcą, by dziecko ochrzcić.

Nie sposób w ramach katechez liturgicznych omówić tego zagadnienia szerzej, ale spróbujmy sięgnąć do własnych doświadczeń. Osoby starsze mogą cofnąć się kilkadziesiąt lat wstecz, do czasów dzieciństwa. Wówczas całe społeczeństwo, a w szczególności rodzina były tak ukonstytuowane, że – poza stosunkowo nielicznymi przypadkami – prowadzono chrześcijański styl życia. Prawdy otrzymywane przez dziecko w rodzinie były jasne, związane z Ewangelią i odpowiadającym jej stylem życia. A system komunistyczny, wrogi Kościołowi, stanowił dla wielu jakby potwierdzenie potrzeby przeciwstawienia się. W kontekście ówczesnej sytuacji społecznej i politycznej widać było wyraźnie, że katechumenat, czyli wprowadzenie w wiarę, dokonywało się w rodzinie, która była ostoją chrześcijaństwa.

Ze swoich dziecięcych i młodzieńczych lat pamiętam, że moimi katechistami byli rodzice. Całe wychowanie chrześcijańskie otrzymywaliśmy w domu rodzinnym. Nie podlegało dyskusji to, że trzeba iść na Mszę świętą Patrząc na mojego ojca, nie miałem wątpliwości, że wierzy w Boga: widziałem go na modlitwie w domu i w świątyni, a jego życie odpowiadało temu, co wyznawał. Pewnych spraw związanych z wiarą nikt dzieciom nie musiał wyjaśniać, one to widziały i tym od najmłodszych lat przeżywały. Czymś oczywistym były normy moralne: że nie należy oszukiwać, kraść, krzywdzić drugiego człowieka Tak więc rodzice byli nie tylko tymi, którzy mnie urodzili, ale i wprowadzili mnie w wiarę. Kościół i wiara oraz cała nauka chrześcijańska stanowiły naturalną formę kształtowania młodego życia.

Spójrzmy, jak to dzisiaj wygląda. Wiele rodzin jest rozbitych, ale nawet w wielu z tych, które jakoś funkcjonują, dzieci nie mogą uczyć się życia w wierze. Zostawmy na boku rodziny tzw. patologiczne. Bowiem w przypadku rodzin „poprawnych”, chodzących do kościoła, nie zawsze prawdy wiary są konsekwentnie przeżywane, a często wprost można spotkać się z pewną dychotomią czy rozdzieleniem w sposobie myślenia decydowania. W takich warunkach, nawet jeśli dziecku wpaja się pewne prawdy wiary w rodzinie i w szkole, a ono tego nie widzi u swoich rodziców czy wychowawców, wówczas nie ma co liczyć na to, że ten młody człowiek przyjmie te prawdy jako podstawowe dla swojego życia.

Zastanówmy się przez chwilę i odpowiedzmy sobie szczerze: Czy jako ojciec i matka w dzisiejszych czasach, w niebezpieczeństwach i trudnościach, jakie przeżywasz – swoim postępowaniem świadczysz, że najważniejszy jest Pan Bóg, a twoja relacja do Niego jest sprawą niezachwianą? Czy dziecko odbiera twoją wiarę nie tylko jako teoretyczną, ale widzi, że wpływa ona na twoją uczciwość, kształtuje relacje z drugim człowiekiem – w rodzinie, w pracy, uzdalnia cię do przebaczenia? Czy patrząc na ciebie może powiedzieć: Mój ojciec, moja matka wierzy, że jest jeden Bóg, bo nie idzie za bożkiem sukcesu, wygody...

Nikogo nie chcę tu oskarżać, ale stawiam pytania. Szczere odpowiedzi pomogą nam zrozumieć, że dzieci i młodzież, często nie mając bliskich i wiarygodnych wzorców, znajdują się w bardzo trudnej sytuacji. Wtłaczamy im do głów wiedzę religijną,

ale tak często u nas, starszych, przede wszystkim w rodzinie, nie widzą realizacji prawd wiary w życiu.

Dlatego dzisiaj jest nam potrzebna katecheza – skierowana nie tylko do dzieci, ale i do dorosłych. Nie wystarczy przyjść do kościoła i złożyć wyznanie wiary, wyrecytować: „Wierzę w jednego Boga”, a potem wrócić do swego życia, gdzie najważniejszą sprawą jest moja racja, mój sukces, rozwiązanie spraw po mojej myśli.

Do tego tematu jeszcze powrócimy, chciałem tu zasygnalizować poważny problem, związany z określeniem naszej chrześcijańskiej tożsamości, z naszym chrześcijańskim wyznaniem wiary. To są trudne sprawy, jednak musimy wobec nich stanąć w prawdzie. Nikogo nie chcę oskarżać, ale pragnę pomóc w zrozumieniu, jak bardzo jest nam dzisiaj potrzebny inny sposób wyznania wiary: nie możemy wyznawać jej tylko ustami w kościele, ale musimy to czynić całą naszą życiową postawą. Tylko w ten sposób przekazemy młodemu pokoleniu prawdy wiary, bo młodzi nie przyjmą ich tylko dlatego, że będziemy o nich mówili. Uczynią to, jeśli dostrzegą zgodność tego, co wyznajemy ustami z naszym codziennym życiem.

Wyznawanie wiary w życiu warunkiem i owocem chrztu

Katecheza liturgiczna wygłoszona 20 lutego w katedrze siedleckiej

W ramach omawiania liturgii słowa zatrzymaliśmy się nad wyznaniem wiary – odpowiedzią na usłyszane słowo Boże. W pierwotnym Kościele wyznanie wiary nie było recytowane podczas celebracji Eucharystii. Najstarsze świadectwa, jakie mamy (np. św. Justyna), nic o tym nie wspominają. Z liturgii słowa, homilii przechodziło się bezpośrednio, przez znak pokoju, do modlitwy wiernych i liturgii ofiary. Natomiast formy wyznania wiary w pierwszych wiekach Kościoła były związane przede wszystkim z inicjacją chrześcijańską i udzieleniem pierwszego sakramentu, czyli wprowadzeniem w życie chrześcijańskie, jakim był chrzest, łącznie z całym procesem przygotowania do niego. Ten etap przygotowawczy, który został nazwany katechumenatem, mógł mieć bardzo różne formy. Zawsze miał jednak na celu przygotowanie człowieka do tego, by w nim w pełni zaczęły owocować moc i duch Jezusa Chrystusa. By w człowieku, który dzięki głoszeniu kerygmatu (obwieszczeniu Ewangelii) zaczął wierzyć w Chrystusa, Kościół mógł zobaczyć, że ta wiara ma wpływ na jego życie, że jego sposób myślenia, podejmowania decyzji oraz postępowania dokonują się zgodnie z duchem Ewangelii.

Chrzest dla tych, którzy wierzą

Chrzest jest sakramentem wiary i może być udzielany tym, którzy wierzą. Nie chodzi jednak tylko o jakieś mgliste przekonanie, „że Pan Bóg jest gdzieś tam w niebie”, bez jakiegokolwiek zastanowienia i uświadomienia, że może On mieć jakiś wpływ na życie człowieka. Wiara, jako konieczny warunek do chrztu, to taka wiara, która kształtuje życie człowieka i wynika z przeświadczenia, że jest ono nierozłącznie związane z Tym, który umarł za ludzi i dla nich zmartwychwstał. Sama wiara jako tylko pewna teoria, bez odniesienia do życia, jest martwa, nie prowadzi do jedności i komunii z Bogiem. Św. Jakub mówi, że „także i złe duchy wierzą i drżą” (Jk 2,19b oraz szerzej 2,14-19).

Podkreślam to bardzo mocno, że chodzi o wiarę, która miałaby rzeczywiście odniesienie do naszego życia. Tego często nie mamy w swojej świadomości. Chrzest może być udzielony człowiekowi, w którym przynajmniej zaczątkowo widać owoce działania Ducha Świętego. A wiara w Boga Ojca, Syna Bożego, Ducha Świętego i Kościół, naznacza i kształtuje jego życie.

Chrzest bywa nazywany *sigillum*, czyli pieczęcią wiary. Dla zobrazowania jego roli oraz wyrażenia okoliczności, w jakich może być udzielany, możemy użyć tu pewnego porównania: jeśli chrzest zostanie udzielony komuś, kto nie wierzy to tak, jakby stawiać pieczęć w próżni. Nie ma to żadnego sensu. Żeby postawić pieczęć, muszę mieć jakiś podkład. Nie mogę postawić jej np. na płynącej wodzie. Udzielanie chrztu bez wiary tego, kto przyjmuje chrzest, to jakby pieczętowanie płynącej wody. Ile z tego zostanie? Nic.

Warto przy tym zwrócić uwagę na tę prawdę w przypadku udzielania chrztu św. dzieciom. Podjęcie decyzji o chrzcie dziecka jest ważne nie tylko dla niego samego, ale też dla jego rodziców i chrzestnych. Jeśli ktoś nie chce, czy nie ma zamiaru przyłączyć się do nauki i prawdy Jezusa Chrystusa, ten nie może przyjąć chrztu. W przypadku dziecka decydują za niego jego rodzice. A więc to ich wola musi być jasno sprecyzowana, a ich wiara określona, mająca odzwierciedlenie w ich życiu. Kościół – jako udzielający chrztu św. – w osobie szafarza tego sakramentu, musi sprawdzić, czy jest gwarancja, że dziecko przyjmujące chrzest otrzyma w czasie wzrastania wynikającą z wiary strukturę życia.

Trzeba postawić sobie jasno pytanie czy zapewnia się ochrzczoneму dziecku wzrastanie w środowisku wiary i czy otrzyma ono stosowną pomoc ze strony dorosłych, by wzrastać w postawie, odzwierciedlającej tajemnicę wiary w jednego Boga na każdą okoliczność. Bywa czasem niestety tak – i to nierzadko – że ochrzczone dziecko wzrasta w atmosferze rozdwojenia: kiedy trzeba, wyznaje się jednego Boga w Kościele, ale kiedy zaistnieje potrzeba pokłonienia się jakiemukolwiek innemu bożkowi, czyli czemuś, co np. pomoże w karierze, w zaspokojeniu aspiracji czy uczuć, łatwo przechodzi się do uznania roli boga-pieniądza, boga-poplecznika, boga, który mi „załatwi”, boga spełnienia relacji międzyludzkich i koncepcji życia podpowiedzianych przez świat, przez tzw. postępowość, przez nowoczesność. Następuje rozdźwięk między wiarą a życiem.

Strzec autentyczności wiary

Skoro wierzę, że Bóg jeden jedyny poprowadzi mnie przez moje życie wtedy, kiedy idę drogą Jego przykazań, wtedy wiem, że przykazanie „Nie mów fałszywego świadectwa”, znaczy „nie mów fałszywego świadectwa”, „Nie zabijaj” to znaczy dokładnie „nie zabijaj”, „Nie cudzołóż” to nie cudzołóż. Jeśli zaś ja tych przykazań – podobnie też prawd Ewangelii – nie akceptuję w pełni, traktuję je wybiórczo, stosownie do mego uznania, to znaczy, że nie akceptuję jedynego Boga. Naturalnie, znajdę zawsze pewne usprawiedliwienia i wytłumaczenia mówiąc: „No przecież w pewnych okolicznościach mogę trochę skłamać, mogę oszukać, bo mnie ktoś inny skrzywdził; ponieważ moja żona odeszła, muszę wziąć sobie inną...”, wówczas wiara straci sens. Czy w takim życiu jest odniesienie do Boga, do krzyża Jezusa Chrystusa? Czy życie takiego człowieka można nazwać życiem człowieka wierzącego? „Życie mi się po-

krzyżowało, bo zostałem opuszczony przez żonę czy męża. Dlatego muszę je sobie inaczej ułożyć tak, by ono mi odpowiadało”. A może Pan Bóg dopuścił, żeby twoje życie się pokrzyżowało? Żebyś zobaczył, że w twoim życiu – tam, gdzie jest krzyż – jest jednocześnie zbawienie i ty to zbawienie możesz mocą Boga nieść także tym, którzy cię skrzywdzili.

My często jesteśmy kuszeni, by nie akceptować Boga i nie wierzyć Bogu, który dopuszcza, by nasze życie się pokrzyżowało. Nie chcemy Go takim przyjąć. Każdy z nas chciałby mieć Boga-bohatera, przeprowadzającego przez wszystkie trudności, stającego po naszej stronie. Tymczasem jako człowiek skażony grzechem jestem bardzo często w błędzie; potrzebuję nawrócenia, a nie przeciwności Boga na moją stronę. Pan Bóg wie, co robi, kiedy dopuszcza trudności, kiedy pozwala na jakieś krzyżowanie mego życia. On jest jeden i jedyny, który wie najlepiej czego mi potrzeba i dlatego staje obok mnie jako jedyny Bóg, który w swoim Synu ukrzyżowanym i zmartwychwstałym otwiera mi drogę.

Jaki sens ma udzielanie sakramentu chrztu świętego, jeśli nie ma gwarancji, że dziecko będzie wychowywane w wierze, a jego postawy będą kształtowane według logiki Jezusa Chrystusa? – Odbędzie się jakiś tradycyjny ryt, który niekiedy znaczy tylko tyle, że ktoś akceptuje powszechnie przyjęte zwyczaje. Choć ich w pełni nie rozumie, nie ma odwagi postąpić inaczej niż wszyscy, bo naraziłby się na uwagi, komentarze lub też boi się, że gdyby tego nie spełnił jakieś fatum zaciążyłoby nad nim i nad jego dzieckiem.

Rodzice, którzy chcą ochrzcić dziecko, a są świadomi pewnych braków w dziedzinie przeżywania wiary, powinni skorzystać z różnych form proponowanych przez Kościół, pozwalających ukształtować ich wiarę i postawy na wzór chrześcijański. Są organizowane różne formy spotkań, katechezy. Może być pomocna formacja w ramach Ruchu Światło–Życie czy na drodze neokatechumenalnej. Wychodząc na przeciw temu zapotrzebowaniu, wzorem ubiegłego roku wznawiamy w okresie Wielkiego Postu katechezy chrzcielne. Zapraszam rodziców, którzy w najbliższym czasie chcieliby ochrzcić swoje dzieci, jak również tych, którzy aktualnie oczekują potomstwa.

Musisz najpierw zacząć rozumieć, co jest ważne dla ciebie, a potem będzie też ważne dla twojego dziecka. A może dajesz swojemu dziecku coś, z czym się nie zgadzasz? Skoro nie chcesz, żeby twoje życie było dotknięte krzyżem, bo ty tego nie rozumiesz, buntujesz się przeciwko Panu Bogu, przykazaniom i Kościołowi, po co niesiesz dziecko do kościoła, żeby zanurzyć je w krzyżu – w śmierci Jezusa Chrystusa? W sakramencie chrztu św. otrzyma ono zdolność bycia i umierania z Chrystusem. A ty cały czas, swoją postawą, będziesz mówił do swojego dziecka: „Ty masz przegrywać? Masz znieść jakąś niesprawiedliwość? Masz być skrzywdzony? Tobie może się coś nie udać? Mojemu dziecku? Ja pójdę do nauczyciela i pokażę, że moje dziecko nie może być dotknięte. Jemu nie wolno zrobić żadnej krzywdy”. I to ochrzczone dziecko – na kogo rośnie? Na bożka. Bo ty jesteś bożkiem. Bo patrzysz na swoje dziecko, na karierę, na życie, na zdobywanie czegokolwiek, jako na bożyszcze.

Nasze masowe chrześcijaństwo dzisiaj nie wytrzymuje próby, która jest o wiele trudniejsza, niż prześladowania za przynależność do Kościoła w czasach komunistycznych. Przyznanie się do wiary wówczas wymagało od niektórych wielkiego heroizmu. Ale dziś jest o wiele trudniej nie korzystać z tego wszystkiego, co świat

podaje jako pozornie lepsze rozwiązania. O wiele trudniej jest być wierzącym w świecie dzisiejszym, niż za czasów otwartego prześladowania.

Chrześcijanin nawet w sytuacji kryzysowej, sytuacji krzyża, nie będzie szedł za obcymi bogami. Nie skróci sobie drogi, nie wejdzie w układy. Nie ustąpi, bo wie, że Pan Bóg jego przeprowadzi. Oczywiście, my potrzebujemy pomocy Kościoła, wspólnoty wierzących. One są wsparciem, ale nie wyręczą nikogo w trudzie dźwigania swojego krzyża. Nie chodzi o to, aby go obejść, ale o to, aby w tym krzyżu wytrwać, ten krzyż przyjąć.

Wyznanie wiary w Eucharystii

Jak już wspomniałem, w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie było wyznania wiary podczas Eucharystii, bo na jej sprawowanie przychodzili ci, którzy wierzą. Wyznaniem wiary był sam fakt, że ludzie gromadzili się na „łamanie chleba” (celebrowanie Wieczery Pańskiej) ryzykując swoje życie.

Pierwsze ślady wprowadzenia wyznania wiary do liturgii Eucharystii pojawiają się w V-VI w. Stało się to poniekąd jako odpowiedź Kościoła na rodzące się błędy. Nastąpiły bowiem istotne zmiany w przeżywaniu chrześcijaństwa. Po edykcie mediolańskim (313 r.) chrześcijaństwo stało się religią uznaną, oficjalną i panującą, w pewnym sensie korzystniej było być chrześcijaninem, niż nim nie być. Ustały też prześladowania i do Kościoła zaczęło wchodzić coraz więcej ludzi o helleńskiej mentalności, z kręgów ówczesnej kultury i nauki, nie zawsze odpowiednio dobrze przygotowanych. Próbowali oni tłumaczyć chrześcijaństwo posługując się swoimi systemami myślowymi. Byli tacy filozofowie, którzy zamiast przyjmować prosto wiarę w Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego, zaczęli spekulować na temat wiary. Czasem to ułatwiało zrozumienie, a czasem prowadziło do błędów. Pojawiały się herezje takie jak np. arianizm, który wyrażał przekonanie, że Jezus nie jest Bogiem w pełni, że jest tylko bytem stworzonym subordynowanym (podporządkowanym); pierwszym ze stworzeń, ale nie Bogiem. Podobnie i Duchowi Świętemu odmawiano boskości. Utrzymywano, że są to byty tylko pochodzące od Boga, przez Niego stworzone.

Kościół, żeby zapobiec szerzącym się błędom, by odnaleźć się w nowej sytuacji widział potrzebę częstszego wprowadzania wyznania wiary, także w ramach liturgii Eucharystii. Świadectwa historyczne wskazują na to, że wyznanie wiary wprowadzono do liturgii Eucharystii w Antiochii w V w., w Konstantynopolu w VI w., a w Rzymie na początku XI w.

Tajemnica wcielenia Jezusa Chrystusa centralną prawdą wyznania wiary

Katecheza liturgiczna wygłoszona 27 lutego w kościele Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego w Szczalbie

W liturgii słowa Bóg w sposób szczególny przemawia do człowieka, a człowiek przyjmuje postawę słuchania, czyli gotowości, by iść za głosem Boga.

W poprzedniej katechezie skoncentrowaliśmy się na wyznaniu wiary w Boga Ojca, jako jednego i jedynego. Dziś zwrócimy uwagę na Syna Bożego Jezusa Chrystusa

oraz Ducha Świętego i na pozostałe prawdy. Najpierw jednak wrócimy jeszcze do samego faktu kształtowania postaw wiary przez słowo, przez wezwanie, jakie Bóg kieruje do człowieka w kontekście wydarzeń – historii jego życia.

Bóg ma rację w moim życiu

Gdy Pan Bóg powołał Abrahama, powiedział: „Wyjdź z twojej ziemi rodzinnej i z domu twego ojca do kraju, który ci ukazę” (Rdz 12,1). Nie powiedział, dokąd ma iść, lecz wezwał go, by stale uczył się postawy słuchania, gotowości kroczenia drogami, jakie mu wskazuje. Abraham nie podążał żadną autostradą, o której wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie kończy, lecz szedł ucząc się tego, że Pan Bóg go prowadzi i pozwala mu coraz bardziej doświadczyć, iż to On – Bóg w jego życiu ma rację. To bardzo istotne w liturgii słowa: żeby słuchając słowa, być gotowym na przyjmowanie tego, że Pan Bóg w moim życiu ma rację. To On mnie prowadzi, to on może zmieniać kierunek życiowy i tym samym zmieniać w moim życiu to, co mnie wydaje się być słusznym dla mnie. To On może powiedzieć: „idź tędy”.

Człowiek chciałby panować i to nie tylko nad bliźnim w pewnych okolicznościach, ale także nad historią. „Chcę, żeby moje życie układało się tak, jak ja chcę, chcę dojść tam, gdzie ja chcę”. „Wiem, jak rzeczy powinny układać się po drodze, jak inni powinni się wobec mnie zachowywać i jak mnie traktować”. Jeśli tak myślę, to mam w życiu wiele trudności. Pan chce mnie od tego uwolnić. Tę prawdę człowiek wierzący odkrywa dzień po dniu w relacjach z bliźnimi. Żona, którą poślubił, bo wydawała się idealna, po trzech miesiącach czy po trzech latach okazuje się nie do zniesienia pod pewnymi względami. Albo sąsiad – mieli współdziałać, ale coś się stało i już nie da się tego podtrzymać. Czy w takiej sytuacji ma powiedzieć: „Dosyć, inaczej wyznaczyłem sobie autostradę mojego życia”, czy też zacząć słuchać Pana Boga i powiedzieć: „Żona (czy mąż) jest troszeczkę inna niż na początku wspólnej drogi, ale jest mi dana po to, bym mógł poznać samego siebie”? Mogę korygować swoje spojrzenie na życie.

Tobie się wydaje, że kochasz, że jesteś dobry, sprawiedliwy. A tymczasem wobec niektórych trudności jednak nie potrafisz kochać, nie potrafisz być dobry, a czasem też nie potrafisz być sprawiedliwy. Gdyby Pan Bóg nie postawił na twojej drodze pewnych wydarzeń czy osób, byłbyś ideałem. Nie wszedłbyś w konflikt itp. Ale właśnie dlatego, że spotykasz trudności, okazuje się, że wcale nie jesteś taki idealny. Pan Bóg to wszystko daje ci po to, byś poznał samego siebie przed Bogiem i byś dał się poznać. Wyjście ze swego kraju i kroczenie drogą, którą Bóg wskazuje, jest głęboką pielgrzymką wewnątrz człowieka, by mógł stać się wolnym od samego siebie, od tego, jak sobie wyobraża swoje życie dla siebie i w jaki sposób staje się kimś, kto chce panować nad innymi. Stąd się rodzą wszystkie konflikty.

W liturgii słowa najistotniejsze jest uczenie się słuchania tego, że Bóg w moim życiu ma rację i że On mnie prowadzi. Dla mego dobra prowadzi czasem przez trudne sytuacje, żebym poznał, co jest w moim sercu. Kiedy słuchamy Bożego słowa w postawie otwartości i pozwalamy, żeby nasze życie było kształtowane według tego słowa, według przykazań oraz prawd Ewangelii, stopniowo zaczynamy odkrywać, że faktycznie Pan Bóg zna nas i nasze relacje z bliźnimi lepiej niż my. Pan Bóg lepiej układa nasze życie niż my sami. Kto jest szczerzy ze sobą i kto odważnie idzie Bożą

drogą, prędzej czy później odkryje tę prawdę. **Dlatego odpowiedzią na słowo, którego słuchamy, jest wyznanie wiary.** Tzw. *symbol wiary* to publiczne oświadczenie, że wierzę w Boga, który wszedł w historię mojego życia, którą kształtuje lepiej niż ja i dlatego wyznaję, że On jest Panem mojego życia.

Skład Apostolski, jak już to tłumaczyłem w poprzednich katechezach, na początku był wypowiadany przede wszystkim przy okazji udzielania chrztu świętego. Nie w czasie Eucharystii, bo zakładano, że udział w niej biorą ci, którzy wiarę mają sprecyzowaną. Dopiero w IV-V wieku, kiedy powstawały herezje, czyli błędy w wierze (gr. *haireisis* – wybranie, wybór), prawdy wiary powstają jako odpowiedź na te błędy. Takie herezje praktyczne grożą nam i dzisiaj, ponieważ nie wszyscy akceptują całą naukę Kościoła i przesłanie Ewangelii. Wybieramy sobie pewne prawdy wiary, pewne nauki, a w odniesieniu do innych mówimy: „tak do końca to nie można tego zrozumieć”, „trzeba być bardziej nowoczesnym”, „kiedyś można było żyć zgodnie z tą nauką, ale dzisiaj się nie da”.

Wobec tych błędów Kościół stopniowo definiował prawdy wiary i w czasie liturgii (od IV, V wieku) wspólnota wyznawała je, recytując *Credo*. Największe trudności i największe herezje powstawały w odniesieniu do osoby Jezusa Chrystusa – do faktu jego Wcielenia. Ogólnie można powiedzieć, że były dwa typy, dwie grupy tych herezji. Do jednej należały te, które negowały prawdziwe człowieczeństwo Jezusa Chrystusa (doketyzm). Mówiły, że Jezus Chrystus, który chodził po ziemi palestyńskiej, galilejskiej, judejskiej, po morzu – tak naprawdę nie był człowiekiem, Jego Ciało było złudzeniem (gr. *dokein* - wydawać się), a w związku z tym jego ukrzyżowanie też było pozorne. Drugą grupę stanowiły te, które negowały prawdziwe Bóstwo Jezusa. To głównie arianizm i jego odmiany. Według herezji tej grupy Jezus nie był Bogiem na równi z Ojcem, był jakimś nadzwyczajnym bytem, ale podporządkowanym Bogu i co do natury niższym od Boga.

Jezus Chrystus – Bóg i człowiek

Dla chrześcijan prawda o prawdziwym wcieleniu i pełnym człowieczeństwie Słowa Boga jako Drugiej Osoby Trójcy Świętej, czyli Syna Bożego, jest prawdą centralną. Mówi nam, że Bóg, Syn Boży, odwieczne Słowo Boże, stał się w pełni człowiekiem i w pełni przyjął ludzkie życie, łącznie z wszystkim, co było konsekwencją grzechu; wie, czym jest cierpienie i śmierć. Dlatego tajemnica wcielenia jest w wyznaniu wiary jakby zwornikiem wszystkiego.

Wyznanie tej prawdy o wcieleniu jest podkreślone w recytacji *Credo* przez zewnętrzny gest. Przed Soborem, gdy wypowiadano słowa: *et incarnatus est de Spiritu Sancto ex Maria Virgine*, tzn. *i za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy*, przyklękano. Teraz ten znak przyklęknienia czynimy dwa razy w roku: w uroczystość Zwiastowania Pańskiego, a zarazem w dzień wcielenia Jezusa Chrystusa, poczęcia się Go w łonie Maryi, oraz w uroczystość Narodzenia Jezusa, czyli w Boże Narodzenie. We wszystkich innych przypadkach, kiedy recytujemy wyznanie wiary, na słowa *i za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy* czynimy ukłon, pochylamy ciało. Faktem jest, że często tego nie robimy. Warto o tym pamiętać i na to zwrócić uwagę. Zginając kolana przed tajemnicą Wcielenia, niejako zginamy także nasz sposób myślenia. Trudno jest bowiem uwierzyć w to, że w nasze ludzkie życie

wszedł Bóg i żył tak jak my. Nie jest też łatwo wierzyć w to, że aktualnie to nasze życie, w którym doznajemy tylu różnych trudności i umieramy, jest przeniknięte obecnością Boga. Trzeba zgięcia kolan, trzeba pochylenia głowy. O wiele łatwiej uwierzylibyśmy w takiego Boga, który przychodzi i chroni przed krzyżem.

Życie człowieka od początku, ze względu na skutek grzechu, jest związane z cierpieniem i śmiercią. Dlatego Bóg przyszedł, żeby dla nas tę traumę rozwiązać w swoim ciele. Przez cierpienie, krzyż i śmierć pokazał, że przyjęcie ich nie kończy życia człowieka, lecz otwiera nową perspektywę – perspektywę zmartwychwstania. I to jest w chrześcijaństwie podstawowy przedmiot wiary. Jeśli wierzymy, oznacza to dla nas, że Jezus Chrystus właśnie się wcielił, przyjął na siebie cierpienie i śmierć. Jednocześnie był Bogiem i uczynił to dla nas, żebyśmy z jego cierpienia i zmartwychwstania mogli w swoim życiu również przyjąć cierpienie. Jest ono okazją, żebym mógł lepiej poznać samego siebie przed Bogiem, przed drugim człowiekiem, przed samym sobą, i bym poznał obecność Boga w moim życiu – właśnie tego, który się wcielił; żebym mógł przeżyć swoje życie jako ktoś, kto zaczyna panować nad cierpieniem. Nie przez usunięcie go, lecz przez to, że ma moc wejść w to cierpienie.

Jeśli np. chrześcijańscy małżonkowie wiedzą, że dzięki Jezusowi Chrystusowi będą w stanie znosić pewne przykrości, nie będą ich odrzucać, czy też mówić „mnie się to nie należy”, to w takiej rodzinie będzie prawdziwa jedność, umiejętność akceptacji drugiego człowieka, miłość i wspólnota.

Kościół wspólnotą przebaczącą

Jezus wcielony żył, umarł, zmartwychwstał, wstąpił do nieba, siedzi po prawicy Boga Ojca, stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych, a królestwo jego nie będzie mieć końca. To wyznajemy.

Jezusa-Sędziego nie można porównywać z tymi, których mamy jako sędziów w naszych ludzkich relacjach. W ludzkich sądach chodzi przede wszystkim o uregulowanie relacji międzyludzkich, zewnętrznych. Mówiąc, że Jezus Chrystus jest Sędzią, rozumiemy, że jest tym, który otwiera w człowieku prawdę o nim samym. Chce wydobyć z człowieka to, co pomoże mu poznać siebie: czy jest ze sobą szczery, czy jest w relacji do drugiego człowieka w prawdzie, czy potrafi uznać siebie za poddanego Bogu w kroczeniu drogą Bożą, czy też chce być sam dla siebie jakby „antybogiem”, mówiąc: „to ja w moim życiu mam rację”.

Kiedy wyznajemy wiarę w Jezusa Chrystusa wcielonego, ukrzyżowanego, zmartwychwstałego, który dał Ducha Świętego od Ojca na przebaczenie grzechów, i który jest Sędzią żywych i umarłych, ufajmy z mocą wiary, że On to uczynił dla nas, dla naszego dobra, byśmy byli pojednani w naszym życiu. Tego pojednania nie możemy nadużyć. Ono funkcjonuje w naszym życiu, kiedy je przyjmujemy. Jeśli nie nauczymy się tego za ziemskiego życia, nie możemy być pewni, że potem to pojednanie przyjmujemy. Jezus-Sędzia dał się z tego powodu ukrzyżować. Zapłacił za nasze grzechy swoim życiem. Miłosierdzie Ojca, którego Jezus jest znakiem, nie ma granic.

Wierzę w Ducha Świętego

W dalszej części *Credo* wyznajemy wiarę w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Ojca i Syna pochodzi. Duch Święty Pocieszyciel, Pan i Ożywiciel przycho-

dzi tam, gdzie człowiek widzi swój grzech. Duch Święty pomaga widzieć grzech i jego konsekwencje, oraz daje perspektywę nawrócenia i chodzenia Bożymi drogami. Szczególnie obecny jest tam, gdzie człowiekowi grozi niebezpieczeństwo wątpliwości i zwątpienia, gdzie człowiek jest narażony na to, by grzeszyć z powodu poczucia bezsensu własnego życia. To w takich okolicznościach daje siłę, by człowiek utrzymał w sobie prawdy Jezusa Chrystusa, by nie uciekał przed krzyżem, by wchodził w trudne dla siebie sytuacje, by wiedział, że Bóg ma dla niego dobre plany. Oczywiście człowiek w takich sytuacjach potrzebuje kogoś, potrzebuje wspólnoty, by mu przypominać o obecności tegoż Ducha.

Duch Święty mówił przez proroków. Ten sam Boży Duch przygotowywał wydarzenie Jezusa Chrystusa i spełniło się ono wtedy, kiedy Jezus został ukrzyżowany i zmartwychwstał. Wtedy też ten Duch Święty objawił się w pełni w Dzień Pięćdziesiątnicy jako przebacząca i jednocząca moc tych, którzy byli winni śmierci Jezusa – czyli nas wszystkich. Owocem dzieła Boga jest właśnie Kościół jako wspólnota ludzi, którzy żyją ze świadomością, iż istnieje przebaczenie grzechów. Jesteśmy ludźmi grzesznymi, ale stale korzystamy z przebaczenia i dlatego potrafimy przebaczać innym. Jezus wcielony jest obecny w naszej wspólnocie, we wspólnocie rodzinnej, we wszystkich relacjach międzyludzkich. Jeśli Jezus, który przyjął na siebie nasz grzech, jest w nas obecny, to my też potrafimy przyjąć skutki grzechów drugiego człowieka.

Nie tworzymy wspólnoty ludzi doskonałych samych z siebie, gdzie jeden na drugiego patrzy z góry, co wprowadza jeszcze większe rozdzielanie, konkurencję, a nawet zawiść. Jeśli każdy z nas przeżył odkupienie i uznaje siebie za grzesznika, któremu zostało przebaczone, wtedy łatwo wyciągnie rękę do drugiego człowieka, stanie obok niego, pomoże mu, przebaczy. Kościół jest wspólnotą ludzi, którzy poznali odpuszczenie grzechów. Wiem, że wezwanie „wierzę w odpuszczenie grzechów” odnosi się moich grzechów, i wierzę też, że ja jestem narzędziem odpuszczania grzechów drugiemu człowiekowi. Skoro jestem narzędziem, które może odpuszczać grzechy drugiemu, to mogę przyjąć i nawet tego potrzebuję, by skutki grzechów drugiego człowieka dotykały także mnie. Bo jeśli mnie nikt nie zrani, nie będę miał komu przebaczyć. Dlatego poczucie krzywdy, przeżycie niesprawiedliwości nie jest tragedią samą w sobie. Tragedia jest wtedy, kiedy nie mamy przebaczenia. Kościół to wspólnota, która żyje dzięki przebaczeniu grzechów i dlatego mamy nadzieję życia wiecznego. Jeśli żyjemy z przebaczenia, mocą tego Jezusa Chrystusa, mamy w sobie zaczątek życia wiecznego i wierzymy w życie wieczne. „Wierzę w życie wieczne” – tak kończy się wyznanie wiary.

W Eucharystii uobecniamy tę prawdę w znakach sakramentalnych, by przyjąć ją w naszym życiu. Jezus Chrystus stanął pośród nas przed dwoma tysiącami lat, staje i dzisiaj podczas tego zgromadzenia, staje w każdej trudnej sytuacji, by mi przebaczyć. Gdy korzystam z tego przebaczenia, również innym potrafię przebaczać. W świecie, który ma sądy, rozliczenia, rachunki, istnieją tylko namiastki przebaczenia, lecz prawdziwego przebaczenia nie ma. Natomiast Kościół jest wspólnotą, która żyje z przebaczenia. Są w niej ci, którzy uwierzyli w obwieszczone słowo, dają się prowadzić, idą drogami Bożymi, i dlatego potrafią tworzyć nową wspólnotę, żyjącą tutaj i żyjącą na wieki.